KŁUSOWNIK

NOWELA

KLEMENSA JUNOSZY.

DRUKIEM I NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
K. MIARKI w MIKOŁOWIE.

KŁUSOWNIK.

NOWELA

KLEMENSA JUNSZY.

Mikołów. Woj. Śl.
Drukiem Karola Miarki, Sp. Wyd. z ogr. por.
1924.

I.

Tęga i długa była zima w roku 1878, mróz, jak wziął w końcu listopada, tak trzymał bez pofolgowania do pierwszych dni marca, a śniegu nazbierała się moc wielka. Grubym, białym kożuchem rozłożył się on na polach, łąkach, wodach zamarzniętych, a po lasach, gdzie wiatr mu nie przeszkadzał i nie miał do niego łatwego przystępu, tak się ułożył i umocnił, jak gdyby aż do czerwca miał leżeć.

Nie bardzo dobra taka zima... Bydło świata nie widzi, stoi jak zamurowane w oborach, z paszą trzeba się skrupulatnie liczyć, a i na dzikiego zwierza głód przychodzi taki, że rozzuchwala się i do siedzib ludzkich zagląda. Gdzie całemi latami nie słyszano o wil-

kach, to się czasu takiej zimy przypomną; lisy niby złodzieje podkopują się do kurników, żeby gęś albo kurę porwać; nawet psy muszą się dobrze pilnować, bo wilk, gdy głodny, to i swego stryjecznego brata się czepi.

Gajowy Koguciński, który pod samym lasem mieszkał, a na zwierza był bardzo zawzięty, wypatrywał dobrze wszelkie ślady i ścieżynki w lesie, znał dróżki, któremi zwierzyna chodzi, zastawiał żelaza, trutki kładł, ze strzelbą się nocami zaczajał i nie jednego szkodnika uśmiercił, to też miał w komorze coś siedm skór lisich i parę kunich, i obiecywał sobie, że jeszcze to bogactwo powiększy.

Miał już i kupca na ten towar, bo ile razy w miasteczku był, tyle razy Abram Pinkt zaczynał z nim rozmowę w tym przedmiocie. Byliby już dawno skończyli targ, ale Koguciński drożył się, a Abram znów za bezcen chciał kupić; nawet przemówili się kilkakrotnie z tego powodu. Abram za wygraną nie dawał, wiedział, że skórki prędzej czy później nabędzie, bo kupowanie skórek było jego specjalnością, i nikt mu w tem nie przeszkadzał, konkurencji nie robił i targu nie psuł.

Mając dość wolnego czasu, Abram zastanawiał się głęboko nad istotą handlu skórami i nad misternem urządzeniem tego całego interesu. Trochę skombinowany on jest, ale czysty jak kryształ i uczciwy. Dlaczego nie miałby być uczciwy? Powiadają, że Koguciński sprzedaje pańskie zające, że Mateusz Sikora poluje na cudze zające. To fałsz! Czyją własnością jest zając żywy? — niczyją. Szlachcic powiada, że jego, głupstwo!... Zając ucieknie do drugiego lasu, do trzeciego, do dziesiątego, i już po własności. Abram ma przecież w miasteczku połowę domu własnego; na tym domu jest dach, a na dachu siadają bardzo często wróble i wrony. Czy Abram może powiedzieć, że to jego wrony? Wcale nie, Abram taki głupi nie jest, bo wrona mogłaby frunąć i zażartować z jego twierdzenia. Tak samo i zając, dopóki żyje, jest niczyj... co najwyżej należy do swojej żony jeżeli ją ma; człowieka-właściciela znajduje dopiero po śmierci, chociaż go szuka za życia. Mateusz postawi żelaza, zając się w nie złapie, Mateusz go schował do torby, wtenczas zając jest własnością Mateusza. Potem przychodzi Abram, kupuje zająca za swoje pół rubla własne, cho-

wa go w swój własny worek i jest właścicielem zająca, ale na krótko, bo zaraz sprzedaje go za 60 kopiejek, i po kilku dniach kupuje z niego skórkę za małe pieniądze.

Abram jest mały kupiec, nabywa skórki pojedyńczo, dla takiego, co zbiera ich pełne wozy, a ten znów dla takiego, co puszcza w świat całe wagony skórek.

Interes skórkowy, to zegarek. Małe kapcany i łapserdaki, to małe kółka w nim; one chodzą z głośnym gankiem, z brzękiem, obracając się jak warjaty, szybko, żywo, ciągle, oprócz szabasu. Większe łapserdaki, to większe kółka, mają poważniejszy obrót, nie są tak ruchliwe; za temi znów większemi kółkami siedzi osoba, sprężyna! Ona się prawie wcale nie rusza, a wszystkiemu ruch nadaje, to jest król od zajęczych skórek.

Dla tej sprężyny kręcą się małe kółeczka, obracają większe; dla niej Mateusz zastawia żelaza, a Koguciński zasiada nocą przy księżycu, koło owsianych snopków rzuconych na przynętę.

Abram lubił rozmyślać o handlu z skórkami, lubił zastanawiać się nad nim, i nietylko nad nim, ale nad wieloma innymi objawami ży-

cia. Mało go obchodziło cudowne urządzenie natury, jej harmonja, piękność, siła, jej potęga, ale natomiast upijał się harmonją — geszeftów.

Rozmyślania nie przeszkadzały Abramowi oddawać się handlowi, owszem, postanawiał go na pierwszym planie. Skórki Kogucińskiego spać mu nie dawały. Lisie skórki! to nie zwyczajny towar, to już coś w wyższym stylu, a kunie!...

Abram wie doskonale, że jeden wielki purec w miasteczku potrzebuje dwóch skórek na odnowienie kołnierza przy futrze i że rządzca z Kobyłek marzy od dawna o sprawieniu sobie lisiurki. Interes gotów, nawet dwa interesa, tylko ten Kogucinski twardy chłop. Uparł się jak kozieł nie chce ustąpić. Powiada: „Wolę wcale nie sprzedać, niż tanio sprzedać“. Czysty warjat! Czysty warjat! Co on sobie myśli? Czy ja mu nie pieniędzmi płacę, czy mało zajęcy od niego wykupiłem?

Ostatecznie postanowił Abram udać się do Kogucińskiego osobiście. Mila drogi wcale nie wielki interes, zwłaszcza dla człowieka, który od wczesnej młodości tylko na piechotę handluje.

Bagatela to. Ileż mil drogi odbył w swojem życiu, od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka kursując!

I dziś postanowił pójść. Wprawdzie już się ściemnia, ale to bajki! droga znana i niedaleka, a przytem księżyc świeci.

Abram wdział na siebie gruby chałat, podpasał się krajką, lisią czapkę nasunął na oczy i poszedł.

Żona odradzała mu tej wyprawy.

„Słuchaj“, mówiła, zanim wyszedł, „lepiej ty jutro rano idź, lepiej nocuj w domu, jak przystoi na bogobojnego sprawiedliwego żyda“.

Abram nie słuchał.

Tej nocy księżyc był jakiś bardzo marny i nędzny. Tak niewyraźnie błyszczał z za chmur, jak pani burmistrzowej lampa z poza firanek i zasłony płóciennej. Abram dobrze tę lampę znał, bo świeciła wprost okien jego mieszkania, świeciła się nieraz długo, bardzo długo, prawie do samego rana. I wtem nic nadzwyczajnego niema, ponieważ burmistrz musi mieć tańszy gatunek nafty, niż zwyczajny człowiek.

Księżyc nie świecił długo. Wyglądał coraz mizerniej, aż nareszcie całkiem przestał

świecić, zniknął. Natomiast zaczął prószyć drobny śnieg. Abram rozmyślał nad tem zjawiskiem i żałował, że zamiast śniegu nie pada kasza, taka prawdziwa kasza, co można ją sprzedawać po kilkanaście groszy kwarta. Dlaczego nie? Przecież raz już było takie zdarzenie z manną, ale wówczas żydzi nie umieli się poznać na czem dobrem i robili grymasy. Dobrze im tak, niech teraz jedzą śledzie z cebulą.

Śnieg pada coraz gęstszy, zalepia Abramowi oczy. Wogóle głupi to interes, ale pół drogi już zrobione, pozostaje druga połowa; kawałek drogi do lasu, potem las, w lesie z gościńca na prawo, potem trochę na lewo, dalej przez krzaczki na prost, przez mostek na strumieniu, przez łączkę na lewo, znów na prawo w las, i może najwyżej o sto kroków Kogucińskiego chałupa.

Dziwna rzecz wszakże, skąd się ten śnieg bierze? Sypie coraz gęstszy i gęstszy, tak, że niema już nieba, ziemi, lasu, pola, tylko sam śnieg. Pełno go w górze i na dole, pełno z wierzchu, z pod spodu, ze wszystkich czterech boków; nie widać ani drogi, ani ludzkiej siedziby, ani drzewa, nic, jest tylko śnieg.

Na domiar złego, zrywa się wiatr i zaczyna tym śniegiem kręcić w niegodziwy sposób. Białe płatki, które dotychczas spokojnie i równo osadzały się na wąsach, brodzie, brwiach i rzęsach Abrama, zaczynają figlować, wciskają się w nos, w usta, za kołnierz, w rękawy; zasypują drogę, niszczą ślady sani, sprowadzają na manowce...

Abram czuje pcd nogami jakieś nierówności, uderza się o krzak, zapada w rów; a przytem doznaje dziwnego, nieokreślonego uczucia... jakby strachu. Może żona miała rację, zatrzymując go w domu? Może, kto wie? Wychodząc z domu, Abram wiedział, że udaje się do Kogucińskiego, cel miał określony jasno, a teraz sam nie wie, dokąd go nogi zaprowadzą. Jest mu na przemian zimno i gorąco, męczy się.

Stanął, żeby skombinować, gdzie jest, i czy ma iść na prawo, czy na lewo, naprzód, czy w tył. Kombinacja niełatwa. Świat wydaje się niby wielki garnek, napełniony rozwodnionem mlekiem i grupkami, garnek, w którym niewidzialna żydówka miesza wciąż niewidzialną kopyścią.

Czemże jest Abram w tym garnku? Nędzną krupką, która będąc cięższą niż inne,

spadła na dno i nie wiruje wraz ze wszystkiemi, ale ma jeszcze gorszy los, bo leży na spodzie, słaba, bezsilna, a nad nią kłębią się miliony krup i rozwodnione mleko... A co będzie, jak owa żydówka niewidzialna do samego dna kopyścią dostanie i pchnie tę cięższą krupkę, Abrama, w wir szalony?...

To jest całkiem pfe! Żona miała słuszność; po co było chodzić na taką noc szkaradną? W dodatku do wszystkiego złego jest cisza. Żadnego głosu nie słychać, żadne stworzenie żywe, żaden człowiek nie odzywa się. Czemuż chociaż z daleka nie dochodzi wołanie „hetta!“ lub „wiśta!“ Czemu jaki chłop nie jedzie?

Czy potrzeba dowodzić, że w takiej chwili głos pijanego chłopa byłby się wydał Abramowi słodszym nad dźwięki „Pieśni nad pieśniami“, nad najpiękniejszą melodję?

Niestety, niema nikogo!

Może po raz pierwszy w życiu handel skórkami zajęczemi nie wydał się Abramowi tak słodkim interesem, jak zwykle, ale bądź jak bądź trzeba było iść i dotrzeć do chałupy Kogucińskiego.

Jest już i las. Duży bór, drzewa w nim wysokie, potężne; między niemi Abram bezpieczniejszym się czuje, odwagi nabiera, kroczy śmielej.

Kilka razy się potknął, parę razy zaczepił kapotą o jakiś krzak, ale to nie zatrzymywało go, szedł ciągle. Miarkował, że już musi być dość późno, i to przejmowało go obawą. W zwykłych warunkach mógł był już od godziny być w chacie Kogucińskiego, a teraz sam nie wie, gdzie jest. Może blizko od niej, może daleko. Kto podczas zawieji potrafi zbadać, w jakiem się miejscu znajduje?

Abram czuł, że pomimo zimna krople potu występują mu na czoło, przyspieszył kroku, jak gdyby uciekając przed nieznanem niebezpieczeństwem.

Naraz rozległ się jakiś dziwny krzyk.

Co to jest? Żyd stanął, zaczął nasłuchiwać. Krzyk powtarzał się raz po raz płaczliwie, a dochodził z tej właśnie strony, w którą Abram dążył.

Czy iść naprzód, czy wrócić się?

Zdawało się Abramowi, że ten krzyk obcym mu nie jest, że już go nieraz w życiu słyszał... owszem, nawet dość często słyszał,

lecz kiedy? gdzie? w jakich okolicznościach? Kiedy przed paru miesiącami kupił gęś, i zamknął ją w drwalni, ona zupełnie tak samo krzyczała, ale szczególna rzecz, cóżby teraz gęś miała robić w lesie, nocną porą, podczas zadymki? Może dzika? Skądby się w zimie znalazła?

Głos dochodzi wyraźniej, Abram nie ma już najmniejszej wątpliwości; istotnie jest to gęś, bardzo szacowany ptak.

Abram szedł w stronę, z której głos dochodził, trochę śmiało i trochę ostrożnie, właśnie jako przystoi na człowieka, który łączy w sobie odwagę i przezorność wężową. Szedł trochę śmiało, gdyż wiedział, że gęś nie jest ptakiem drapieżnym i nie rzuca się na ludzi, a trochę ostrożnie, ponieważ nie można twierdzić bezwzględnie, że stworzenie, odzywające się głosem gęsi, ma być koniecznie gęsią. Nawet w razie, gdyby posiadało wszystkie zewnętrzne cechy tego ptaka: dziób, pierze, nogi, gdyby gęgało i znosiło jajka, to jeszcze mogą być pewne wątpliwości. Abram wie o tem, ponieważ czytał wiele, słyszał opowiadania ludzi mądrych i rozumiał doskonale, że nawet w takiej na pozór prostej rzeczy może

być ukryte nieszczęście lub oszukaństwo. W danym wypadku mogą być, opuszczając wiele innych subtelnych i wyrafinowanych, trzy przypuszczenia najprostsze: albo gęgające stworzenie jest zwyczajną gęsią, przypadkowo znajdującą się w lesie; albo jest formą, naczyniem, w którem ukrył się zły duch dla uczynienia Abramowi psoty; albo wreszcie jest czasowem siedliskiem jakiej duszy żydowskiej, pokutującej za grzechy. Umysł Abrama skłaniał się ku pierwszemu i trzeciemu przypuszczeniu; przekładał nawet trzecie nad pierwsze, gdyż zabrawszy gęś i zjadłszy ją, uwolniłby zarazem pokutującą duszę, co jest uczynkiem bezwzględnie dobrym. W miarę zbliżania się do miejsca, z którego głos dochodził, Abram czuł, że serce coraz silniej w nim kołacze, ale wysiłkiem woli opanował wrażenie i do pewnego stopnia zapanował nad niem w rzeczy samej; raz dlatego, że gęś, choćby nawet najchudsza, warta jest przynajmniej pół rubla, a powtóre, że handlując przez całe życie skórkami dzikich stworzeń i zwierzyną, człowiek mimowolnie zyskuje na odwadze, jak herbata w sąsiedztwie świec łojowych zyskuje na zapachu.

Idąc wciąż ostrożnie, nadsłuchując i wytężając wzrok, Abram doszedł do krzaka, poza którym rozlegało się wyraźnie gęganie. Przystanął, wychylił głowę z poza gałęzi, i ujrzał w odległości trzech kroków od siebie prawdziwą, dużą, siodłatą gęś. Doskonale można było na śniegu widzieć jej szare skrzydła, któremi trzepotała rozpaczliwie, mając prawdopodobnie związane nogi.

Abram szybko skombinował, że jego drugie i trzecie przypuszczenie upada, że nie ma przed sobą zamaskowanego szatana, ani pokutującej duszy, lecz zwykłą gęś, którą prawdopodobnie pijany chłop miał na wozie i nie zauważył, że spadła. Doskonały interes do zrobienia, tylko się schylić, gęś zabrać, zanieść do domu i urządzić z niej wspaniałą ucztę dla rodziny.

Wobec tak pięknego a niespodziewanego zysku Abram postanowił, w razie gdyby Koguciński bardzo się przy cenie skórek upierał, postąpić mu po sześć groszy na lisich, a po dziesięć na kunich.

Niech się i on zbogaci!

Niestety, wszelkie wogóle kombinacje ludzkie mają tę wadę, że bywają niepewne

i omylne. Niewiele też na nich można budować.

Gdy Abram prawą ręką chciał wziąć gęś, stało się coś nadzwyczajnego. Ziemia się zapadła i biedny handlarz skórek wraz ze swą niespodziewaną zdobyczą wpadł w przepaść.

II.

We wsi Kurkach, nieopodal lasu położonej, w chacie na samym skraju błysnęło światełko. Przez małe okno o czterech szybkach można było dostrzedz sylwetkę człowieka, uwijającego się po izbie przy jaskrawem, migotliwem świetle łuczywa. Człowiek ten wdział na siebie sukmanę, przepasał się rzemieniem, włożył czapkę na głowę, wyciągnął z za pieca krótką strzelbę i zagasiwszy ogień na kominie, wyszedł z domu.

Zawieja ustała, śnieg już nie padał, księżyc ukazywał się chwilowo, to znów skrywał się w szarych chmurach. Było już późno. W którejś chacie kur zapiał; za nim odezwał się drugi, trzeci, dziesiąty, i odgłos tego piania, niby hasło czuwających stróżów nocnych, po wsi się rozlegał. Człowiek z krótką strzelbą na ramieniu nie udał się drogą przez wieś, lecz

zaraz za chatę swoją wyszedłszy, zwrócił się w pole i dążył pewnym krokiem w stronę lasu. Ciemno było, zadymka zatarła wszelkie ścieżki i pozawiewała brózdy, ale człowiek ów szedł śmiało, pewno, jak gdyby o południu. Mogło się zdawać, że ciemności nie istnieją dla niego, że idzie na pamięć.

Nie było w tem nic dziwnego. Mateusz Sikora w tej wiosce się urodził, w tej okolicy blisko sześćdziesiąt lat przeżył; znał prawie każde drzewo w okolicznych lasach, każdy krzak, kamień, rów. Przez bagna dla nikogo niedostępne potrafił przechodzić suchą nogą, po kępach, pniach nawpół spróchniałych, kłodach drzew, od niepamiętnych czasów przez burze zwalonych.

Rzeka ani jezioro nie miały dla niego tajemnic, znał wszystkie brózdy, mielizny, głębie. Wiedział, gdzie raków szukać, gdzie wędy zarzucić, gdzie więcierze, lub bębenki zastawiać. A i myśliwy był z niego znakomity, szedł do cudzego lasu jak do własnej śpiżarni i brał co chciał i co mu było potrzeba. Strzelbę nosił z sobą, ale używał jej rzadko, wolał polować po cichu, żeby i prochu nie marnować i hałasu niepotrzebnego nie robić. Na lisy miał trutkę,

na sidła, ptastwo w sidła brał, lub innymi sposoby, a zawsze zręcznie, cicho, nieznacznie. Nie chwalił się talentem swoim, rozgłosu unikał, a ile zwierzyny, ile skórek w swem życiu sprzedał, o tem Abram Pinkt mógłby dużo powiedzieć.

Mateusz umiał nawet i obstalunki załatwiać. Ileż to razy zgłaszali się do Abrama różni panowie z miasta, żądając kuropatw, zajęcy, czasem nawet sarny, na dzień oznaczony. Abram przyrzekał, że będzie, i szedł jak w dym, do Mateusza. Mateusz przyrzekał, że dostarczy i szedł, jak w dym do lasu... a zawodu nigdy nie zrobił. Sławny chłop, można było na jego zapewnieniu polegać, i z tej przyczyny w mieście doskonale wiedziano, że słowo Abrama, w razie potrzeby, znaczy zupełnie to samo, co zaduszony zając.

Z powierzchowności Sikora wcale na wielkiego myśliwca nie wyglądał, był chłop niepokaźny, nizki, krępy, o twarzy wygolonej, nie zdradzającej ani inteligencji, ani sprytu; tylko w małych, czarnych oczach jego malowało się życie i przebiegłość. On od tylu lat ścigał zwierzynę i sam nieustannie był ścigany od ludzi, którzy o własności wyrobili sobie najdzi-

waczniejsze pojęcia. Gdy Mateusz tropił zwierzynę, jego samego tropili gajowi, leśniczowie, nadleśni. Umiał ich jednak unikać. Borsuk nie potrafił tak zręcznie skryć się w jamie, zając nie umiał tak przycupnąć w podorywce, jak Mateusz wywijał się swoim prześladowcom.

I za co go prześladowali? Za co grozili mu karami, sądem, a niekiedy nawet dobrym nabojem śrutu?

Musimy się zapoznać bliżej z Mateuszem. Był to niebogaty człowiek. Miał całej fortuny dziewięć morgów, z serwitutem na lesie i na ugorach; miał stodołę, oborę i zwykle chłopskie obejście, konia, kilka sztuk bydła, trochę gadziny. Dla jednego byłoby to aż nadto, ale Mateusz nie był jeden. Nie licząc dozgonnej towarzyszki życia, miał dwóch synów, dwie synowe, córkę i zięcia. Wszystko to siedziało na owych dziewięciu morgach, chciało jeść dobrze, ubierać się, a nawet i pieniądze składać, bo już taka ludzka natura; jak kto ma grosz, to chce dwóch, ma dwa, żąda pięciu, a potem mu już i tysięcy mało.

Mateusz gospodarstwo dzieciom oddał, a sam przemysłem żył własnym, tyle, że mu od czasu do czasu jeść dali w chałupie. I tam

co prawda rzadkim bywał gościem. Czasem na dwa, na trzy dni znikał, i nie wiadomo, gdzie się podziewał. Gospodarstwa nie lubił, głównie polowaniem się trudnił; czasem w dobrej kompanji po drzewo do cudzego lasu się wybrał i sosenkę lub dębczaka tak cicho wywiózł, że straż nie domyśliła się wcale; czasem znów puszczał się w drogę na dłużej, w dalsze okolice, a co tam robił, tego nikt nie wiedział i nie domyślał się nawet. Mateusz ani czytać, ani pisać nie umiał, obce mu były również wszelkie cyfry, ale z rachunkami dawał sobie radę. Robił kozikiem różne znaczki na kiju, a takie akuratne i dokładne, że nawet Abram Pinkt, który w buchalterji kredą na szafie bardzo był biegły, nie mógł nigdy Mateusza w pole wyprowadzić. Chłop ząb za ząb się kłócił i zawsze żyda przekonał. Najczęściej wynikały spory przy rachunkach za kwiczoły, jemiołuszki i wogóle drobne ptaszki. Abram mówił:

„Słuchajcie, Mateuszu, we wtorek był mendel i trzy ptaszki, we czwartek jeden ptaszek i dwa mendele... to razem dwa mendele i pięć...

Mateusz uśmiechał się tylko.

„No, mówię wam wyraźnie: dwa mendele i pięć sztuk... Co więcej żądacie?“

„Nic, jeno mi Abram zapłać, co się należy“.

„Owszem, zapłacę“.

„To liczcie jeszcze raz?“

„We wtorek mendel i trzy“.

Mateusz spojrzał na swój kij, policzył palcem karby, kiwnął głową i rzekł:

„No, tak“.

„We czwartek“, mówił dalej Abram, „jeden i dwa mendele“.

Mateusz znów spojrzał na kij.

„Juści“, rzekł, „dwa i jeden. Sprawiedliwie“.

„Ja zawsze sprawiedliwy jestem, i dlatego zapłacę wam za dwa mendele i pięć ptaszków“.

„Nie, Abram zapłaci za trzy mendele i cztery ptaszki“.

„Za ile? za ile?“

„Za trzy mendele i cztery“.

„Dlaczego?“

„Bo tak stoi na kiju“.

„Nie, ja wam zapłacę za dwa mendele i pięć, bo tak stoi na szafie“.

„Ja biorę podług kija“.

„Co to za gadanie! niby to wasz kij ma być mądrzejszy niż moja szafa?“

„Bo i nie co“.

„Wy macie źle w głowie, Mateuszu“.

Chłop obojętnie przyjmował takie wymówki, a gdy się trochę zniecierpliwił, mówił z pozornym spokojem:

„Abramie, czy wy macie całe kości?“

„Co to za głupie pytanie!“

„Tedy radzę po dobremu zapłacić ile się patrzy, bo mogę wpaść w gniew i przetrącić wam jaki gnat!“

„Stary rozbójnik! Tfy!“

„Stary cygan!“

Często zdarzały się takie sprzeczki, ale ostatecznie kończyły się zgodnie. Chłop oszukać się nie dał i Abram płacił co się należało. Cóż miał robić? Z natury handlu, jakiemu się oddawał, wielce cenił dobry i stały stosunek ze znakomitym tępicielem zwierzyny; musiał mu nawet pochlebiać, częstować go niekiedy, a w potrzebie i drobnym kredytem wygodzić. Specjalność, jakiej się Mateusz oddawał, nie była łatwą. Tropił ciągle i sam był tropionym, co wymagało wielkiej przytomności umysłu, bystrego oka i ucha. To też wyrobił sobie

wzrok koci, a słuch zajęczy; jednak mimo tego, dostawał się niekiedy przed kratki sądowe i kilkakrotnie w kozie siedział. Pierwszy raz trzy dni, potem miesiąc, ostatnio dwa miesiące.

„I za co?“

Za to tylko, że sędziowie mieli dziwaczne pojęcia o własności, i nie mogli zrozumieć, że co innego ukraść, a co innego wziąść.

Bywają takie twarde głowy.

Mateusz nieraz zastanawiał się nad tym szczególnym objawem nieudolności ludzkiego umysłu. Dlaczego lada kto rozumie, że co innego jest młócić, a co innego strzelać, co innego orać, a co innego gwizdać, a „wziąść“ i „ukraść“ biorą za jedno!

Aczkolwiek prosty chłop i niepiśmienny, Mateusz coś rozumie, zdaje mu się nawet, że dużo rozumie. Nieraz, mając czas wolny, położy się w polu pod krzakiem, albo zimową porą w izbie na przypiecku i myśli. Myśli o zwierzynie, ptakach, sidłach, a wreszcie i o sobie samym, o nieustannym zatargu z tymi, którzy go tropią i śledzą, jak dzikiego zwierza. Jest na świecie dużo rzeczy niezrozumiałych... Abram, na przykład, nie może zrozumieć, dlaczego wolno zabić zająca w grudniu, a nie wol-

no w maju; dlaczego w pewnym okresie czasu zabity zając jest przedmiotem wolnego handlu i może być sprzedany tak jak jest; w innym ma znów koniecznie mieć pieczęć lakową na uchu... a jeszcze w innym okresie staje się kontrabandą, którą zabierają, konfiskują jak defraudowaną wódkę lub szwarcowany tytuń.

Abramowi to się w głowie nie mieści!... boć przecie dla zająca jest wszystko jedno, czy zostanie zjedzony w tym lub owym miesiącu, czy po śmierci będzie miał ucho opieczętowane, czy nie... On zapewne wolałby żyć i nie spotykać się nigdy ani z Mateuszem, ani z Kogucińskim, ani z tymi panami, co urządzają sobie polowania dla zabawki.

Myśli, zaprzątające Mateusza, są cięższe, poważniejsze, a co prawda, i trudniej rodzą się w mózgu, niż myśli Abrama... Żyd, jak żyd, do spekulacji wszelakich ma dar, kombinuje szybko; w chłopskiej głowie idea obraca się powoli, niby koło ciężkiego wozu w piasku... pojęcie urabia się z trudnością, rośnie jak drzewo, wolno, po troszeczku, ale też za to, jak się urobi, wyrośnie, jak korzenie zapuści, to już go ani naruszyć, ani wyrwać; trwałe jest jak mur, niewzruszone jak skała...

Mateusz idzie ku lasowi zadumany, bo i ma o czem.

Za kilka dni wypada mu stawić się do sądu i o co? o głupi dąbek, wywieziony nocną porą, cichaczem. Ze sprawy nie będzie nic, bo za rękę nie złapali, dowodów niema, a poszlaki niewiele znaczą... Koguciński za świadka ma stawać, ale choć przed ludźmi za Mateuszowego wroga uchodzi, w gruncie za jedno z nim trzyma... i sam zresztą nie jest czysty jak szkło... Koguciński sprawy nie popsuje, ale trzeba się z nim porozumieć, naradzić, żeby niby oskarżał, a w rzeczywistości bronił, mówił i tak i siak, i to i owo, a jedno żeby się drugiego nie trzymało. Wreszcie i Abram będzie za świadka podany, ażeby zeznał, że tej nocy, podczas której dąbek skradziono, Mateusz w miasteczku był i właśnie u Abrama nocował. Dziesięciu żydków to widziało i w razie potrzeby mogą nawet zaprzysiądz...

Sędzia będzie na to zeznanie głową kiwał, niech sobie kiwa, głowa należy do niego i wolno mu z nią robić co chce; ale kiwanie prawdy nie wzruszy...

Powiadają, że dąbek ukradziono nocy czwartkowej i oskarżają o to Mateusza, a prze-

cież faktem jest, że Mateusz sprzedał w miasteczku jakiś dąbek we czwartek i tego dnia nie powracał do domu, lecz nocował u Abrama. To jest prawda sprawiedliwa; różnica może być tylko w definicji, która właściwie noc jest czwartkowa: czy ta, co idzie po czwartku i poprzedza piątek, jak sądzi Abram i jego przyjaciele. Wolno sędziemu myśleć tak, Abramowi wolno myśleć inaczej, ale rację ma Abram.

Dla czego? Dajmy na to, że kobieta stała się wdową i powtórnie wyszła za mąż. Któż jest jej mężem: czy ten, co przeszedł, przeminął i nie jest; czy ten, który żyje? Oczywiście ten drugi... Tak samo i noc nie mogła należeć do czwartku, który jeszcze nie istniał... Możnaby w tem dowodzeniu, chcąc przedmiot do gruntu wyczerpać i wszechstronnie go zbadać, odwrócić kota ogonem i przedstawić rzecz z innej strony, na odwrót i jeszcze raz na odwrót, ale w danym przypadku nie idzie o dysputę, tylko o sąd... więc można poprzestać na skróconej procedurze myślenia...

Wobec takich świadków i wobec Kogucińskiego, Mateusz nie lękał się sądu, ale przykra mu była mitręga, włóczenie się, strata czasu. Tej nocy, na taką niepogodę wolałby spać,

aniżeli iść do Koguciińskiego, ale trudno, w kozie siedzieć nie rozkosz; lepiej żelaza na zające zastawiać, lub lisy truć...

Idąc, rozmyślał; czuł się obrażonym. Zapozwano go o kradzież, to znaczy, że pośrednio nazwano go złodziejem, a on przecież złodziejem nie jest... i nigdy nim nie był. W Boga wierzy, pacierz mówi, dziesięcioro przykazań umie na pamięć. Wie, że siódme przykazanie głosi: „nie kradnij“, i on nie kradnie. Nie wyprowadził nocą konia ze stajni, nie sięgnął do cudzej kieszeni, nie wyniósł cudzego zboża ze śpichrza, nie wyłamał zamków, nie rozbił cudzej skrzynki ani kufra, i nazywają go złodziejem! Za co? że wziął jakiś marny dąbek!

I znowuż to ta niezrozumiana przez ludzi różnica pojęć...

Mateusz zastanawia się i pyta sam siebie.

Czy jest złodziejem ten, kto pije wodę z cudzej studni? — Nie.

Czy jest złodziejem, kto odpoczywa w cieniu przydrożnego drzewa? — Nie.

Czy człowiek zbierający grzyby lub jagody w lesie cudzym jest takim samym łotrem, jak ów, co kradnie gospodarzom ko-

nie? — Nie. Siódme przykazanie powiada: „nie kradnij...“ — ale nie mówi: „nie bierz“.

Mateusz, gdyby go zaproszono na konferencję i kazano mu wymotywować szczegółowo swoje poglądy, nie wywiązałby się z zadania. Co najwyżej, podrapałby się w głowę, przestąpił parę razy z nogi na nogę i uśmiechnął się z politowaniem na ignoracją swych przeciwników.

Bo i czego oni właściwie chcą?

Zabrać komu bicz z fury, to znaczy ukraść, zerwać grzyb w lesie, to znaczy wziąć. Bicz kupił właściciel od żyda na targu i zapłacił, jak wiadomo trzy grosze; grzyb wyrósł z ziemi sam, z woli Bożej, nikt za to grosza nie dał... Sądy tego nie rozumieją... podług nich wszystko jest kradzieżą; a czy kto bierze tylko, czy kradnie, nazywają go jednakowo złodziejem...

Wtem właśnie krzywda i niesprawiedliwość.

Idzie Mateusz, rozmyślając o tem, idzie, nie patrząc na drogę, którą na pamięć zna... idzie szybko, bo mu zimno, bo wiatr dojmujący dmie przez sukmanę, przez kożuch, wierci jak świderkiem, aż do kości.

Taki najgorszy. Lepiej w trzaskający mróz wędrować, niż podczas wiatru.

Już jest las, jeszcze kawałek do chaty Kogucińskiego, najwyżej pół godziny drogi. Trzeba pospieszyć.

Stary wyga Kogut, przez grzeczność Kogucińskim nazwany, choć jego dziad i pradziad Kogutem po prostu się zwał, ma różne sposoby na rozgrzanie. Drzewa nie kupi, więc piec u niego w izbie zawsze gorący, a i flaszę niejedną chowa w ukryciu... Taki ma życie porządne. Pensja go dojdzie, ordynarja, fantowe, a i za skórki coś skapnie... Słowem pan, i nie goni go nikt, po sądach nie włóczy, wyrokami nie trapi, kozą nie grozi...

Śnieg ścieżki pozawiewał, ale to dla Mateusza głupstwo. Idzie śmiało, nie pyta, byle prędzej pod dach, do ciepłego pieca, do flaszy... Wiatr szkaradny z każdą chwilą się wzmaga... Szczęśliwy, kto nie potrzebuje domu w takiej chwili opuszczać!

III.

Kiedy się stało to nieszczęście, że ziemia się zapadła i Abram z gęsią znikł w przepaści, to była chwila okropna...

Jedno gęgnięcie krótkie, urwane w połowie, ostatnie, jeden jęk przeciągły, trzask łamanego chróstu czy gałęzi, a potem cisza... cisza, ciemność i chłód.

Abramowi zdawało się, że spada długo, bardzo długo, choć w rzeczy samej w okamgnieniu na dnie owej przepaści się znalazł; gęsi zapewne nie zdawało się nic, bo raz, jako gęś, nie miała wyrobionego sądu o rzeczach, a powtóre Abram ją tak fatalnie przygniótł ciężarem swego ciała, że odrazu wyzionęła ducha...

Na głowę Abrama spadła cała fura chróstu, za kołnierz nasypało mu się z garniec śniegu...

Narazie, oszołomiony, przytomność stracił, i upłynęło pewnie z dziesięć minut, zanim przyszedł do siebie o tyle, że mógł zawołać: aj waj!

Jest to dobry znak. Człowiek, który w nieszczęściu może to słowo wymówić, nie jest całkiem zgubiony, jeszcze ma apelację... Gorzej bywa, gdy krzyknąć wcale nie potrafi, gdy niemoc zwiąże mu język, a strach zamuruje usta jak cementem.

Z początku zdawało się Abramowi, że wybiła ostatnia jego godzina, ale uszczypnąwszy

się mocno w policzek, uczuł ból, a cóż jest wymowniejszym dowodem życia, jak cierpienie? Zresztą, gdyby nie żył, musiałby przedtem widzieć, chociaż przez chwilę, strasznego anioła śmierci, patrzącego groźnie tysiącami oczów i wstrząsającego mieczem, na którego ostrym końcu wiszą trzy krople trucizny... Gdyby umarł, bolałaby go dusza, rozłączona nagle z ciałem... a tymczasem boli go tylko kolano, które stłukł sobie, padając...

Cóż go więc spotkało? gdzie jest?

Otóż to najważniejsze pytanie. Może go piekło pochłonęło żywcem, wraz z ową gęsią kusicielką, która istotnie mogła być posłanniczką złego ducha... Ale nie... W piekle nie może być tak zimno. Twierdzą uczeni, że piekło ma siedmdziesiąt tysięcy ścian, tu niema wcale ściany; w każdej ścianie siedmdziesiąt tysięcy szpar, tu niema wcale ani jednej szpary; w każdej szparze siedmdziesiąt tysięcy bardzo brzydkich owadów, tu ich także nie widać... Można namacać ręką jakieś gałęzie i śnieg, dokoła ziemię gliniastą... można, rzuciwszy okiem w górę, zobaczyć cokolwiek przyświecający księżyc i na tem bledziuchnem tle czarne gałęzie sosen...

To nie jest piekło, nie, to ziemia, z drzewami, z wiatrem, od którego gałęzie skrzypią i szum się robi. To nie jest życie zaświatowe, ale to, które Abram od kolebki praktykuje, które miało piękne chwile, piękne skórki, i tylko wyjątkowo teraz stało się nad wyraz ciężkiem i brzydkiem.

Jest to wielka prawda psychologiczna, że człowiek, który w co niedobrego wpadł, ma tylko jednę myśl: jakby się z tego niedobrego wydobyć... Nie mówiąc o topielcach, prawdę tę mogą poświadczyć obywatele siedzący w kozie, mężowie kłótliwych żon, procederzyści oskarżeni o kontrabandę i wielu, wielu innych, niemających szczęścia do handlu.

Abram do wyjątków także nie należał. Szukał wyjścia. Obmacał ściany przepaści, były dość gładkie; zaczął poszukiwać na dnie, czy nie znajdzie jakiego narzędzia, sznura, drabiny, czegokolwiek. Namacał przeklętą gęś. Była jeszcze trochę ciepła, ale martwa i nieruchoma. Kopnął ją nogą ze złością, czemu nie trzeba się dziwić: ona była główną sprawczynią nieszczęścia, więc też Abram nie uważał za konieczne być względem niej uprzedzająco grzecznym i galantem. Gdyby nie ona,

nie jej głupie gęganie, Abram siedziałby teraz w ciepłej stancji u Kogucińskiego, targował się z nim o skórki, może byłby je już nabył dotychczas, a tak...

Są podobno jakieś pół-kobiety pół-ryby śpiewające, które zamieszkują w wodach i wdzięcznym głosem wabią nieostrożnych na pewną śmierć lub nieszczęście. Warte one akurat tyle, co ta gęś!

Abram mozoli się, szuka sposobów wyjścia z jamy, ale nie może ich znaleźć. Wpada w gniew, złorzeczy i na płacz mu się zbiera, a zarazem czuje się zawstydzonym, dlaczego dał się skusić? On! mądry człowiek, stateczny mąż, pierwszy znawca skórek, dał się oszukać głupiej gęsi.

To istotnie wstyd!

Wydobyć się z przeklętej jamy niesposób. Żeby choć było widno, ale księżyc taki dziś skąpy, żałuje odrobiny światła. Do dnia czekać... Zimowa noc długa jest jak nieszczęście, można zmarznąć, zanim widno się zrobi. Już półtorej godziny szarpał się Abram w swem więzieniu, gdy nagle uszu jego doszedł odgłos jakiś niewyraźny, zdawało mu się, że ktoś idzie, bo stukanie powtarzało się równo, mia-

rowo, czasem cichsze, widocznie przez śnieg tłumione, to znów wyraźniejsze nieco, to wywołujące suchy trzask. Widocznie idący nastąpił na zeschłą gałązkę i złamał ją.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś idzie i że zmierza wprost ku przepaści. Ktokolwiek jest, poratuje, da pomoc, ale trzeba mu dać znać o sobie, niech nie ominie tej jamy, nie zwróci kroków w inną stronę, niech wie że nieszczęśliwy potrzebuje ratunku. Była chwila wahania... Abram pomyślał, że może ten, co nadchodzi, jest zły człowiek, rozbójnik? Ale nie. Cóżby robił w lesie o tej porze? Zapewne jest to jaki gajowy, kłusownik, złodziej leśny, takich zaś Abram zna i nie obawia się wcale.

Gdy Abram zaczął wołać o pomoc głosem wielkim, odgłos kroków ucichł. Idący zatrzymał się, stanął za sosną i słuch wytężył, nie magąc sobie na razie zdać sprawy z tego, co się dzieje.

Tymczasem płaczliwy lament nie ustawał. Mateusz, gdyż on to właśnie szedł, mający niezmiernie czułe ucho na wszystkie szmery leśne, łowiący najmniejszy szelest i zawsze zdolny rozróżnić, skąd on pochodzi, tym razem nie mógł nic wymiarkować. Głos był przytłumio-

ny, dobywający się jak gdyby z piwnicy. Mateusz poznał tylko, że to lamentuje żyd i że głos jego podobny do głosu Abrama.

Co u licha?

Powoli, z zachowaniem wszelkich ostrożności, szedł Mateusz ku miejscu, z którego odzywały się jęki, a po chwili nie miał już żadnej wątpliwości, że ratunku wzywa Abram.

„Abramie! Abramie!“ zawołał, „gdzie jesteście?“

„Albo ja wiem?“ odezwał się głos płaczliwy, prawie przy nogach Sikory, „albo ja wiem?... Jestem w bardzo niedobrym miejscu“.

„Skąd żeście się tu wzięli?“

„Ja nie wiem, dalibóg! Była gęś... gęgała... chciałem ją wziąść... ziemia się zawaliła, wpadłem... gdzie? może do piwnicy, może do suchej studni...“

„Aha!“ rzekł Mateusz „to już wiem: wpadliście w wilczy dół“.

„Wszystko mi jedno, gdzie wpadłem, tylko pomóżcie mi wyleźć, mój panie Mateuszu, ja was bardzo proszę, pomóżcie mi... ja wam doskonale sprawę poprowadzę, ja wam świad-

ków dobrych dam, ja was poczęstuję, tylko mnie stąd wyciągnijcie..."

„Cicho! no cicho!" odezwał się chłop, „nie potrzeba krzyczeć, ani głośno gadać, bo to las, a w lesie sosny mają uszy... Czekajcie-no..."

Mateusz zdjął z siebie pas rzemienny, wydobył z kieszeni kawał sznura, i związawszy jedno z drugiem, miał czem Abrama wyciągnąć. Zbliżył się do dołu i jeden koniec sznura wpuścił w głąb.

„Przewiążcie się w pasie mocno", rzekł, „to was wyciągnę. Też ochota, żeby w wilczy dół włazić... Nie wiem, co wam się na starość przywidziało..."

Mateusz mruczał gniewnie, Abram tymczasem przewięzywał się rzemieniem.

„Aby mocno związać", radził Sikora.

„Nu, nu, już ja skrępuję się na moc, na dziesięć węzłów. Oj, Mateuszu, panie Mateuszu, chyba was sam Bóg w to miejsce przyprowadził. Skąd wyście się tu wzięli po nocy?"

„A wy skąd?"

„Ja do Kogucińskiego szedłem za skórkami, i przez tę gęś... niech ją licho porwie!"

„Ja też do niego. No, związaliście już?"

„Już. Albo czekajcie, jeszcze jeden węzeł... zawsze będzie bezpieczniej. No już!“

„Ciągnę, a wy rękami i nogami pomagajcie sobie... aby na wierzch“.

„Aj, aby na wierzch!...

Mateusz oparł się silnie na nogach i ciągnąć zaczął. Nie łatwo to szło, bo Abram był ciężki; uniósł go jednak na pół łokcia w górę.

Nagle Abram zawołał:

„Czekajcie!“.

„Cóż?“

„Spuśćcie mnie jeszcze na dół, zapomniałem“.

„Czego?“

„Nu, trzeba przecie zabrać gęś, po co ona w dole ma zostawać“.

„Toć nie wasza“.

„Jakto nie moja? czyja ma być?“

„Tego, który dół zrobił“.

„Niech go nieszczęście spotka za ten dół, a gęś moja, bo ją znalazłem; niech choć to mam za moje cierpienie, za strach“.

„Zwarjował stary!“ mruknął Mateusz, popuszczając sznur.

Abram namacał przedmiot swych poszukiwań, uczepił go u pasa i zawołał:

„Nu, Mateuszu, już!"

Chłop wytężył wszystkie siły, pociągnął, ale zaledwie do wysokości łokcia mógł Abrama podźwignąć. Ziemia była pokryta śniegiem, więc punkt oporu dla nóg niepewny, śnieg się z pod nich usuwał.

Próżno Mateusz używał całej siły swych jędrnych muskułów, nie mógł poradzić. Żyły, jak baty grube, wystąpiły mu na skronie.

„A bodajże cię!" mruczał, „toćby wołu już wydobył. Sposobu niema, takie żydzisko ciężkie".

„Oj, żeby moje wrogi takie ciężkie życie mieli".

„A, wrogi, wy zawsze z wrogami! Puśćcieno w ruch nogi i ręce, drapcie się po ścianie, bo ja rady nie dam".

„Nie mówcie takie słowo!"

„Sprawiedliwie. Ciemno, choć oko wykol, miesiąc za chmury się schował. Żeby było widno, wiedziałbym przynajmniej, o co się oprzeć".

„No, nie straszcie mnie, Mateuszu, ciągnijcie mocno. Wy, taki silny mężczyzna, co się pięciu gajowych nie zlękniecie, nie dalibyście rady biednemu żydkowi?... Co ja ważę?...

ja nic nie ważę, trzy skórki zajęcze mają większą wagę, niż ja. Ciągnijcie, proszę was.

„Dalibóg, nie dam rady“.

„To co będzie?“ zapytał nieskopojny Abram.

„Albo ja wiem?“

„Bójcie się Boga, Mateuszu, przecie ja tu nie mogę nocować w tym szkaradnym dole“.

Mateusz nie odpowiadał, namyślał się.

„Słuchajcie-no, Abramie“, rzekł już po chwili, która się Abramowi wiekiem wydała, „tu jeszcze z godzinkę posiedzicie“.

„Co?“

„A tak. Wy tu zostaniecie, a ja pójdę po Kogucińskiego; we dwóch wydźwigamy was, ja sam nie potrafię. Odwiążcie sznur“.

„To nie może być, ja was nie puszczę“, zawołał Abram pół z płaczem, „wy musicie mnie wydobyć!“

„Próbowałem, ale nie mogę“.

„Nie, wy możecie, wy musicie móc, ja wam każę móc, ja was proszę. Mateuszu, ja z wami tyle lat handlowałem, ja was nigdy nie ukrzywdziłem, ja was wynagrodzę, ja was pieniędzmi obsypię, ja wam całe dwa złote dam“.

„Mój Abramie, co to pomoże?“ tłomaczył chłop, „nie dam rady i tyle. Po co bałamucić i tracić czas. Idę“.

„Proszę was, jeszcze raz spróbujcie“.

„Et!! próżny zachód, i tyle“.

„Spróbujcie, ja wam pomogę, będę się czepiał rękami i nogami, mój Mateuszu!“

„Skoro koniecznie, spróbuję, ale już ostatni raz“

Owinął sznur koło ręki, oparł się mocno nogami i z całych sił ciągnąć zaczął. Abram gramolił się po ścianie dołu, wykrzykując radośnie:

„Git, git! jeszcze trochę, aj, Mateuszu, wy macie moc, wy ciągniecie jak maszyna parowa, wy wielki mocarz, wy jesteście...“

Nie dokończył zdania, gdyż ziemia, naciśnięta ciężkim butem, osunęła się i chłop wpadł do dołu.

„A niechże cię siarczyste!“ zawołał, „potrzeba mi było żyda słuchać“.

Abram dygotał z przerażenia.

„Chyba cię tu na pieprz utłukę, stary cyganie“.

„Wyście mnie już i tak utłukli“, jęczał Abram. „Zbiłem sobie drugie kolano, a co teraz będzie? co teraz będzie?“

Chłop milczał.

„Mateuszu, ja was pytam: co teraz będzie?“

„Będziemy siedzieli w dole, jak wilcy, dopóki nas kto nie wydobędzie. Dobrze mi tak, że głupiego słuchałem, i strzelba tam została pod drzewem. Żeby was!“ mruczał dziad jak niedźwiedź, a był tak rozgniewany i zły, że Abram bał się odezwać.

Wtulił się w kąt i przykucnął ku ziemi, zdawszy się zupełnie na wolę losów. Już nie wysilał mózgu nad sposobami wydobycia się z kłopotu. Na co? Jest przecie Mateusz, niech psuje sobie głowę; on się na takich rzeczach rozumie lepiej, niż najlepszy handlarz skórek. Z gorszej biedy wydobywał się nieraz.

Chłop czasu nie tracił: Wydobył zapałkę z kieszeni, potarł o szorstki rękaw kapoty, zaświecił. Dół był głęboki, ściany miał ścięte równo, na dnie leżało trochę chróstu. Wydobył krótką fajkę z kieszeni, zapalił ją i usiadł na ziemi.

Mateusz ostrożnie zgasił zapałkę, ciemność wydała się jeszcze większa.

„Na co gasicie ogień?“ odezwał się Abram szeptem.

„Bo tak trzeba“, odparł kłusownik szorstko.

Przykucnął na ziemi i zaczął po omacku szukać między chróstem grubszych gałęzi. Znalazł kilka, połamał je i usiłował wbijać w ścianę dołu.

„Żebym choć brzegu ręką dostał“ mówił.

Ale kołki niezaostrzone nie dały się utkwić w twardej ziemi, zresztą nie było czem wbijać. Widząc, że nie da rady, chłop dał za wygraną; wydobył krótką fajkę z kieszeni, zapalił ją i usiadł na ziemi.

„Co wy myślicie robić?“ zapytał Abram.

„Czekać dnia“, rzekł Mateusz flegmatycznie.

„Całą noc?“

„A jużci! zanim dzień będzie, to noc upłynie. Od niepamiętnych czasów tak bywało“.

„Wy chyba jesteście drewniany człowiek. Mateuszu!“ zawołał Abram.

„Dlaczego?“

„Jakto? tu jest dół, dziura w ziemi, noc, nieszczęście! a wyście sobie siedli, jak u sie-

bie w izbie, i palicie fajkę! Tfy! tak tylko głupi ludzie robią".

„A cóż mądrzy powinni czynić?"

„On się pyta, co czynić! Ratować się, szukać sposobu, skakać do góry, krzyczeć gwałtu!"

„Ja wolę fajkę palić!"

„Ja wiem, on woli fajkę palić! Możebyście woleli położyć się całkiem i spać na tych patykach i na śniegu, jak na pierzynie?"

„A jakby Abram wiedział; skoro mi się spać zachce, to się położę i zasnę".

„Czysty warjat! A co ja mam robić?"

„Abram niech skacze do góry i prosi Boga, żeby kto trzeci do naszej kompanji nie przyszedł".

„Jaki trzeci? skąd? co on za jeden jest?

„Wilk".

„Pfe! dajcie pokój, niech jego nieszczęście, niech on lepiej nogę złamie! co on ma do nas za interes?"

„Do Abrama wilk zawsze ma interes, bo nosi na sobie skórę na sprzedaż; piękna skóra kilka rubli warta, potargujcie".

„Wy Mateuszu, macie taką lekkość do żartów, jak krowa do tańca, po co takie

głupstwa powiadacie? jeszcze w takim miejscu i po nocy!“

Chłop najobojętniej fajkę palił i milczał, W tej sytuacji niewesołej różnica temperamentów obu przyjaciół, ich usposobień i poglądów, uwydatniała się bardzo jaskrawo. Abram nie mógł ustać na miejscu; przestępował z nogi na nogę, dreptał, wzdychał, jęczał, klął, patrzył w górę, nasłuchiwał, obmacywał ściany dołu. Mateusz zaś siedział nieruchomo, pociągał dym z fajeczki i z cierpliwością przedziwną czekał dnia i przybycia Kogucińskiego. Taką już miał naturę.

Nieraz zdarzało się, że potrzebował paszportu, i przyszedłszy o dwie mile drogi do gminy, dowiedział się, że pan burmistrz pojechał i wróci dopiero wieczorem. Gdyby Abram, przyszedłszy do magistratu, miał takie zdarzenie, toby przedewszystkiem badał policjanta, woźnego, sekretarza, kasjera, dopytywałby się, kiedy burmistrz wyjechał? do kogo? po co? dostałby się do kuchni, zapytał służącej pani burmistrzowej, dzieci pana burmistrza, piętnaście razy w ciągu dnia wpadłby się dowiedzieć, czy burmistrz nie przyjechał, czy przypadkiem nie przysłał depeszy albo listu, czy się nie zro-

biła jaka odmiana? Mateusz wprost przeciwnie: siedział na progu, jadł chleb, palił fajkę, potem napił się wody ze studni, znów jadł chleb, znów palił fajkę, i tak do samego wieczora, a gdy na to przyszło i do samego rana oczekiwał.

Abram myślał sobie w duchu, że Mateusz jest głupi, cham nieokrzesany, że jego mózg śpi, a jeżeli się przebudzi, to tylko na to, aby obmyślić, w jakiem miejscu żelaza pozastawiać, albo ile za zająca zażądać.

„Słuchajcie-no, Mateuszu".

„Co?"

„Czy wam się nie przykrzy tak siedzieć?"

„Nie".

„Ja nie rozumiem. Mnie się zdaje, że wy macie taką kamienną naturę, że gdyby nawet śmierć przed wami stanęła, to wy nie wypuścilibyście swojej kochanej fajki od gęby".

„Wypuściłbym".

„Aj, aj! no, nie spodziewałem się po was takiej gwałtowności".

„Wypuściłbym fajkę dla tego, że skorobym wiedział, że mnie zaraz śmierć czeka, to mówiłbym pacierz i prosił Boga miłosiernego, żeby mi odpuścił grzechy".

„Alebyście się bardzo lękali?"

„Czego?"

„Śmierci!"

Chłop się rozśmiał.

„Mój Abramie", rzekł, „nie wiem ja, jakie są wasze żydowskie stare zakony, ale podług naszego, śmierci się lękać nie godzi, a i niema też czego. Bóg życie daje i Bóg je odbiera, a przeciw woli Jego żaden mocarz nie poradzi. Niema się czego bać, bo naprawdę umiera tylko ciało, a duszę Bóg bierze i podług zasługi sprawiedliwość jej wymierza. Dobra śmierć to jest łaska Boża, i każdy człowiek powinien się modlić, aby dobrze umarł".

Abram obruszył się:

„Co wy pleciecie dziwnego, mój Mateuszu. Małe dziecko by tego nie powiedziało. Jakto: dobrze umarł? Co to jest? Kto kiedy niedobrze umarł?

„Oj, oj!"

„Fe, Mateuszu! dziwno mi, dalibóg. Wiadomo, że krawiec może źle uszyć kapotę, szewc sfuszerować parę butów, ale śmierć nie fuszeruje nigdy, jak kogo, broń Boże zadusi, to dobrze".

„Nie o takiej dobrej śmierci ja mówię".

„Ona zawsze jest niedobra, niech naszych wrogów spotka!“

„Z woli Boskiej idąca“.

„Nu, to prawda, ja nie powiadam, że inaczej, owszem, to od Boga jest, to musi być, ale nie wiem, czy to taki dobry interes, żeby o nią prosić. Lepiej prosić o życie“.

„Czy tak, czy siak, umierać trzeba“.

Abram zadumał się.

Śmierć, myślał, pochodzi od Boga, tak jak i życie, ale człowiek życia pragnie, a śmierci się broni? Ktoby nie chciał uciec przed nieubłaganym jej aniołem, wykonawcą Boskich wyroków? Przecież nietylko mali, zwyczajni ludzie, ale tacy wielcy, jak król Dawid, jak prorok Mojżesz, nie chcieli umierać. Abram czytał o tem dwie prześliczne legendy. Król Dawid wiedział, że umrze w sobotę, i anioł śmierci napróżno usiłował go zabić, aż dopiero za pomocą dowcipnego podstępu życie mu odebrał. Mojżesz groźno i z gniewem przemówił do anioła śmierci, nazwał go łapserdakiem i wcale nie chciał mieć z nim do czynienia, tak, iż sam Bóg zawołał do siebie tę duszę wielką i hardą. Tacy ludzie, a przecież nie chcieli umierać, cóż dopiero mówić o zwy-

kłych, pospolitych żydkach. Czy dziwić się, że w czasie niebezpiecznej choroby wielu z nich zmienia imię swoje, aby tem anioła śmierci w błąd wprowadzić? Każdy ratuje się jak może, a ten głupi chłop gotów spokojnie czekać na śmierć, jak na pieniądze za skórkę, lub na paszport w gminie. Dziwny chłop, co się w jego głowie dzieje! Ale oni wszyscy tacy sami. Zdarzyło się już Abramowi widzieć chorego chłopa, który ostatkiem sił wywlókł się na podwórko, aby wybrać suche deski na trumnę.

Abram chciał dysputować na ten temat, ale Mateusz nie odpowiadał wcale, zdrzemnął się, a może usnął na dobre.

IV.

Długo oczekiwany świt przyszedł nareszcie. Konary drzew zarysowały się na szarem, zachmurzonem tle nieba, śnieg nie padał. Abram powitał tę chwilę z najwyższą radością i natychmiast zaczął budzić Mateusza.

„Nu, obudźcie się!“ wołał, szarpiąc chłopa za ramię, „dzień jak wół“.

„Już?“

„To jest ładne słowo to wasze „już“. Widać spaliście doskonale, skoro tak prędko noc wam zeszła“.

„A jużci!“ odrzekł Mateusz ziewając.

„No, ruchajcie się teraz, radźcie co, już widno“.

Mateusz wstał, przeciągnął się i myślał jakiś czas.

„Nu co? nu co? pytał z niepokojem Abram.

„Nu, no nic“.

„Jakim sposobem może być nic? musi coś być“.

„Bajki!“

„Co to znaczy bajki?“

„Żeby noc nie była taka ciemna, byłbym się wnet z tego dołu wydobył“.

„A teraz?“

„Zaraz wylezę“.

„Więc nie będziecie czekali na Kogucińskiego?“

Mateusz, nic nie mówiąc, wydobył z kieszeni nóż, zaostrzył nim kawałek gałęzi, znalezionej na dnie, i zaczął wbijać wgłębienie w ścianie dołu. Gdy ich zrobił kilka, dostał się po nich w górę, tak, że rękami dostał brzegu jamy. Tyle mu tylko było potrzeba. Uchwy-

ciwszy się za wystający z ziemi korzeń, wzniósł się na rękach do góry i z wielką zręcznością na powierzchnię się wydobył.

„A ja? a co ze mną będzie?“ wołał Abram.

„Zaraz, zaraz, a! jaki to w gorącej wodzie kąpany!“

„Zróbcie tak samo jak ja“.

„Nie potrafię; oj, Mateuszu, nie zostawcie mnie bez pomocy, poratujcie!“

„A to niezdara!“ mruczał chłop a związawszy rzemień ze sznurem, spuścił go na dół.

„Obwiążcie się, albo bierzcie powróz do ręki, spróbują was wyciągnąć teraz, kiedy już widno nie wpadnę“.

Oparł się silnie o drzewo i dźwigał. Wtem nagle z poza drzewa dał się słyszeć gruby, basowy głos.

„A, dalibóg, Mateuszu, co za wiele to nie zdrowo. Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem. Mało wam dąbka, mało zajęcy, jarząbków, cietrzewi, teraz wam się zachciało wilka! Żebym tak zdrów był, nie dam! Mój dół i wilk mój!“

Mateusz poznał od razu Kogucińskiego.

Nie odwracając się i nie puszczając sznuru z rąk, rzekł:

„Bierzcie go, Janie; sprawiedliwie on wasz i ja z niego żadnej korzyści nie chcę mieć“.

„A cóż wy żywcem go bierzecie?“ zapytał Koguciński.

„Aha“.

„Eh! to nic, zastrzelić bestją i już, dużo on mi utrapienia i szkody narobił, takiego mi pieska dobrego zadusił, żebym za niego dziesięciu rubli nie chciał. Palnąć mu w łeb i już“.

„A to palcie“ odezwał się Mateusz.

Abram, który tę rozmowę doskonale słyszał, wrzasnął na cały głos:

„Panie Koguciński! nie bądźcie wy warjat! ja was proszę, ja Abram“.

„Wszelki duch Pana Boga chwali!“ zawołał gajowy, „a to co?“

„A to taki wilk“ rzekł Mateusz. „Z wieczora szedł do was za skórkami, usłyszał, że gęś gęga, chciał ją wziąć i wpadł w jamę; ja przed północkiem szedłem do was, usłyszałem krzyk, chciałem żyda ratować i też wpadłem w dół. Siedzieliśmy w dole do świtu; teraz ja wydobyłem się i jemu pomagam, ale kaducznie ciężki“.

Przy pomocy Mateusza i Kogucińskiego Abram wydobył się na powierzchnię. Otrzepał kapotę z ziemi i śniegu i rzekł:

„Nie spodziewałem się po panu Kogucińskim, że mi takiego figla zrobi“.

„Alboż Abram jest wilk? Na was nie robiłem dołu“.

„Ale zawsze. Kto widział, żeby w lesie urządzać takie interesa. Może przechodzić podróżny, dobry człowiek, najlepszy przyjaciel, pfe! Ja wam powiadam, że wy to wszystko robicie przez złość do żydów“.

„Do żydów?“

„No, a dlaczego na przynętę wzięliście gęś?“

„A cóż miałem wziąć?“

„Trzeba było użyć na taki interes taką malutką, całkiem malutką, za pozwoleniem, świnkę, to jabym w dole nie nocował, ani Mateusz też“.

„A kto was tam wiedział, że się złakomicie“ rzekł gajowy.

„Już przepadło“, rzekł Abram, „co się zrobiło, to się nie odrobi; tymczasem, panie Koguciński, ja do was szedłem według tych skórek“.

„Jak dobrze zapłacicie, to sprzedam".

„I ja też do was szedłem, Janie", dorzucił Mateusz.

Koguciński na niebo spojrzał.

„Jeszcze ludzie śpią", rzekł, „ale trzeba się spieszyć. Abram, jak Abram, może u mnie w chałupie być, ale Mateusz. Niechnoby przypadkiem leśniczy albo rządzca obaczył go w mojej stancji, toby mnie wnet na cztery wiatry przepędzili, a co prawda miejsce złe nie jest".

„Ja wam też, Janie, przeszkody robić nie chcę" odezwał się stary kłusownik; „cały mój do was interes to jeno według owego głupiego dąbka, co mi o niego sprawę zrobili".

„Niby jaki?"

„A no, żebyście Janie, w sądzie nie opowiadali za dużo".

„Koguciński śmiechem parsknął.

„Alboż mi to pierwszyzna? Nie bójcie się Mateuszu, wyjedziecie ze sprawy czyści jak szkło, nic wam nie będzie. Ja nie głupi".

„Aj, panie Koguciński", wtrącił Abram, „ja wiem, wy na taki interes macie rozum, tylko na drożenie się ze skórkami to wy żaden rozum nie macie".

„Ja“, rzekł Mateusz, „nie będę was, Janie, dłużej frasował; pójdę sobie lepiej wprost do domu, żeby nie było na was jakiego posądzenia, a wy z Abramem handle swoje prowadźcie“. .

Nie bardzo Koguciński zatrzymywał Mateusza, gdyż, bądź co bądź, dla gajowego, jako dla stróża lasów, towarzystwo kłusownika i rabusia leśnego jest do pewnego stopnia kompromitujące. Co w sercu, co w myśli, to swoja rzecz, ale dla oczu ludzkich potrzebne jest d e c o r u m. Pies nie będzie się przyjaźnił z kotem, ani wilk z barankiem, wobec ludzi wrogami trzeba być. Szczerze też wdzięczny był Koguciński Mateuszowi, że sobie poszedł i że go obecnością swoją nie kompromitował.

Znajomość z Abramem również nie mogła być uważaną za zaletę Kogucińskiemu, jako gajowemu, ale ostatecznie jeszcze to uchodziło.

Abram jest żyd, a to zupełnie zmienia postać rzeczy. Sam hrabia-dziedzic ma żyda, plenipotent główny również, rządzca także, leśniczy nie inaczej, dlaczegóżby jeden Koguciński miał być tego przywileju pozbawiony?

Byłoby to niesprawiedliwie. Zresztą wiadomo, że Abram handluje skórkami, a Kogu-

ciński ma w kontrakcie wyraźnie, że wolno mu truć i tępić wszelkimi sposobami dzikie zwierzęta i szkodniki. Skoro wolno tępić, to wolno i skórki sprzedawać, stąd też wizyta Abrama może mieć niejakie pozory legalności.

Szli sobie tedy w dobrej komitywie, gawędząc, trochę żartując, a trochę o interesie mówiąc, zwyczajnie jak dwaj przyjaciele.

„Chciałbym jak najprędzej być u was w chałupie“, rzekł Abram, wstrząsając się nerwowo.

„Tak wam o skórki chodzi?“

„Co prawda, najbardziej o moją własną skórę, bo strasznie przeziąbłem“.

„Toć ognia na kominie nie brak, w lesie mieszkam“.

„Aj, to dobrze, ale mnie i we środku bardzo zimno, zdaje mi się, że jestem, broń Boże, worek wypchany samą frybrą“.

„Gorzałkę mam z kroplami, i taki znów spirytus, co nalany jest na brzozowe pączki, i taki, co na mrówki, i taki, co na żywokost, het precz od każdej słabości, i zioła leśne, insze do picia, insze do kadzenia, insze znów do czego innego, i skrom zajęczy, i borsukowe sadło i rożne różności“.

„Takiem prawem to wy macie więcej lekarstw, aniżeli nasz aptekarz w miasteczku“.

„Więcej nie, ale lepsze, bo aptekarze najwięcej trzymają proszków doktorskich na lekką śmierć, a ja według poratowania zdrowia“.

„Poratujcie mnie od frybry“.

„A dawno was trapi?“

„Tymczasem nie trapi, ale będzie trapiła; ja czuję, że ona już we mnie siedzi“.

„Nic wam nie będzie, rozgrzejecie się w izbie“.

Doszli do chałupki Kogucińskiego.

W pierwszej izbie przy kominie uwijała się baba lat średnich, krępa, przysadzista, o wejrzeniu ponurem i niechętnem.

„O!“ zawołała, ujrzawszy Abrama, „tak rano wyszliście cyganić... co?“

„Najpierw ja pani Kogucińskiej“, odrzekł, „powiadam w grzeczny sposób „dzień dobry“, zdrowia pani życzę“.

„Eh! dzień, komu dobry, to dobry, a zdrowie mogę mieć z Boskiej łaski nie z żydowskiej“.

„Mnie się zdaje, co pani miała dziś przykre spanie“.

„Jakie miałam, takie miałam. Komu do tego zasię!“

„Jagno“, zaczął Koguciński, „nie bądź ty taka sprzeczna, dalibóg, słuchać niemiło“

„To sobie uszy zatkaj pakułami“.

„Jaguś, pókim dobry“.

„Bądź sobie zły, garnek z gorącą wodą jest“.

„Na co państwo w kłótni macie być“, rzekł poważnie Abram, „ja tu naumyślnie, w pani Kogucińskiej interesie, przyszedłem“.

„Co?“

„Żebym tak zdrów był“.

„To gadajcie żywo“.

„Wolę poczekać, aż pani będzie dobra, zresztą maleńki to interes“.

„Czy duży, czy mały, trzeba powiedzieć“.

„Po co? Ja nawet nie wiem na pewno, że pani nie lubiła nigdy...“

„Korali?“

„No, takich czerwonych korali, co kobiety na szyji noszą“.

„Pokażcież je żywo!“

„Ja wcale nie powiedziałem, że mam korale przy sobie, tylko że przyszedłem rozmówić się według korali. Czasem bywa takie zda-

rzenie, że się trafia rarytna rzecz, a bardzo tanio".

Kogucińska zmieniła od razu humor i stała się nader uprzejmą. Wybiegła też zaraz do komory, aby przynieść flaszkę z jakimś rozgrzewającym kordyałem.

Gajowy z podziwieniem spojrzał na Abrama.

„Skąd wam korale na myśl przyszły?"

„Aj, panie Koguciński, niby z was wielki myśliwy, a takiej prostej rzeczy nie znacie. Wiecie, że wilka trzeba łapać na gęś, a nie możecie zmiarkować, że babę bierze się na korale".

Gdy Kogucińska powróciła do izby, Abram zaimprowizował na poczekaniu cały poemat o tych nadzwyczajnych, wyjątkowo pięknych koralach. One pochodzą z zagranicy, z takiego miasta, co nad wielkiem morzem leży. Kupione zostały przez jakąś bardzo bogatą hrabinę, która potem zapisała je swojej wnuczce, ta wnuczka później wyszła za mąż i zbiedniała. Korale znalazły się w zastawie, potem przepadły; nareszcie znalazły się i znów poszły w zastaw, później ukradli je. Złodziej sprzedał bardzo tanio, kupiła je i nosiła jedna bar-

dzo znaczna kupcowa, ta kupcowa później podupadła i skapcaniała, a teraz można je kupić za darmo, i niezawodnie w księgach przeznaczenia zapisano, że właścicielką ich zostanie pani Kogucińska. Opowiedział dalej Abram, jak te korale wyglądają: są czerwone jak krew, bardzo czerwone, a każdy co do ich wielkości jest prawie taki jak orzech, a przynajmniej jak duży groch, albo wreszcie jak ziarnka pieprzu. Bywają przecie małe orzechy i duże ziarnka pieprzu... Ostatecznie najpierwsza dama może taką ozdobę na szyji zawiesić.

Kogucińska była nadzwyczaj zaciekawiona.

„Drogie one?“ zapytała.

„Mówiłem pani Kogucińskiej, że tanie jak barszcz. Za marne pieniądze można je kupić. Żydówka nie zna się, sama nie wie, co ma. Zresztą nasze żydówki nie są amatorki na korale. Co innego perły. Moja żona przez siedm lat suszyła mi głowę, żeby jej perły kupić“.

„Napijcie się, Abramie, wódki“, rzekła baba, nalewając kieliszek.

„Aj, aj! owszem, bardzo chętnie. Niech będzie na zdrowie pani Kogucińskiej“.

„Pijcie zdrowi“.

Abram przeprosił gospodarzy, włożył czapkę i modlitwę krótką odmówił, potem wychylił kielich.

„Aj!“ rzekł, „teraz mi lepiej. Ja powiadam, że czasem kieliszek wódki wart jest tysiące. Teraz, panie Koguciński, możemy pogadać o skórkach; ja umyślnie za tem przyszedłem; wezmę wszystkie, ile macie... i lisie i tchórze“.

„Dobrze“.

„Tylko niech usłyszę od was ostatnie słowo“.

Gajowy powiedział cenę, na którą Abram się oburzył.

„Jak żyję, nic podobnego nie słyszałem!“ zawołał. „Co to jest... za głupiego tchórza żądać jak za niedźwiedzia... a za lisy! Żeby one z czystego jedwabiu sierść miały, jeszcze nie byłyby tyle warte. To jest świat! aj waj! czy to można handlować?... czy można żyć...“

„Ja nie odstąpię“.

„Nie odstępujecie. Wasze skórki, wasza wola; moje pieniądze, moja wola. Ja też nie odstąpię. Tylko moje pieniądze nie zepsują się i będą zawsze pieniądze, a wasze skórki wyle-

nieją i zmarnują się do szczętu. Będziecie z nich mieli sobole... co w plecy kole..."

„Nie kupicie wy, to kupi kto inny... Żydów na świecie dość..."

„Owszem, może zawieziecie do Warszawy... wieźcie. Tu koło nas nie będzie nikt Abramowi handlu psuł. Niech pani Kogucińska tę sprawę osądzi... teraz korale za bezcen, a on chce za skórki brać jak za złoto!"

„Bo pewnie, że się za bardzo drożysz", wtrąciła baba.

Koguciński spojrzał na żonę zdumiony.

„Toć sama kazałaś", rzekł bojaźliwie.

„Ja? ani mi się śniło".

„Wyraźnie powiedziałaś, żebym się ani ważył, bo..."

„Przywidziało ci się. Żeby inszemu żydomi, to rozumiem... Ale Abram spokojny człowiek, krzywdyśmy od niego nie mieli..."

„To jest słowo sprawiedliwe i mądre", rzekł Abram. „Zaraz poznać kobietę rozumną, choć tego po sobie nie pokazuje... W oczach ma złość, ale w sercu dobroć. Jak przemówi, myślałby kto, że smoła i siarka z niej leci, a to jest sam miód. Wy nie jesteście

warci takiej kobiety, panie Koguciński, naprawdę wam powiadam“.

„Bo mu też opuść, Janie, proszę cię“.

„Ha, skoro tak żądasz, to opuszczę. Przybijam!“

Klapnął Abrama w dłoń, aż się rozległo po izbie.

Żyd się skrzywił, lecz z targu był kontent.

Koguciński przyniósł z komory skórki; obliczyli, ile za wszystkie razem wypada, przyczem nie obeszło się bez sprzeczek, ale ostatecznie doszli do ładu.

„No, Bogu dzięki, już!“ rzekł Abram, „teraz będę mógł spokojnie iść do domu“.

„A, jeszcze nie...“

„Dlaczego?... Przecież wam za wszystko zapłaciłem co do grosza...“

„Należy się jeszcze za gęś“.

„Co?... albo ja u was kupowałem kiedy gęś?...“

„Wszystko jedno... zadusiliście mi jedną tam w dole“.

„Wstydźcie się, panie Koguciński, takie głupstwa powiadać... Gdzie w tem rozum, myśl? Aj, jaką ciężką głowę macie! Wam się

należy za gęś, którą miał zjeść wilk... Gdyby ją zjadł istotnie, czy zapłaciłby za nią?...“

„Zdjąłbym z niego skórę“.

„To nie jest moneta“.

„Ja z was też zdejmę kapotę, skoro pieniędzy dać nie chcecie“.

Koguciński spojrzał przytem tak ponuro i groźnie, że Abram cofnął się przestraszony.

„Ej, stary!“ odezwała się baba, „tylko Abrama nie strasz“.

„Niech zapłaci za gęś“.

Wywiązała się długa dyskusja, a w końcu stanęło na tem, że Abram tylko czwartą część wartości gęsi zapłaci, chociaż i to wydało mu się bardzo niesłusznem i nieuzasadnionem.

„Jakże z tymi koralami?“ zapytała Kogucińska.

„Oj, oj! jak pani chce. Kiedy pani będzie w miasteczku, to ja przyniosę i pokażę“.

„Mam ja i dziś właśnie do zrobienia sprawunek“ rzekła baba, a zwracając się do męża, dodała: „Zaprzęgnij-no, stary szkapę do sanek, to pojedziemy. Niema w domu soli, pieprzu też potrzeba... różności“.

Koguciński zaczął się drapać po czupryni.

„No, czegoż stoisz? słyszysz, że soli niema w chałupie".

„Kiedy-bo, widzisz, bez pozwolenia od leśniczego nie mógłbym pojechać".

„To nie jedź".

„A jakże będzie?"

„Pojadę sama z Abramem. On zmrożony, to będzie bardzo rad, że mu się okazja trafi".

Abram zerwał się z ławki.

„Pani Kogucińska!" zawołał „ja pani bardzo dziękuję za grzeczność, za łaskę... ale jechać z panią nie mogę".

„Dlaczego?"

„Dlaczego? zaraz dlaczego... Nie mogę. Ja lubię bardzo chodzić na piechotę, moje nogi mają taką naturę, że jak się rozmachają, toby szły, szły, szły... choćby na sam koniec świata".

„Abram coś kręci".

„Wcale nie, broń Boże!... tylko ja powiem prawdę: ja zupełnie w inną stronę mam iść".

„A dokąd?"

„Do Wólki".

„Możemy pojechać i przez Wólkę; pół milki w bok... nie koniec świata. Idź, Janie, zaprząż".

Koguciński roześmiał się głośno.

„Kobieto“ rzekł, „ty Abrama nie namawiaj, on z tobą nie pojedzie. Nie wolno mu podług jego zakonu“.

„Co?“

„Niech sam powie“.

„Owszem, dlaczego nie? Wolno... tylko trzeba, żeby z nami jeszcze kto jechał... nie wiele osób: pięć, trzy, choćby wreszcie jedna, byleśmy sami nie jechali... bo, widzi pani Kogucińska... niby tak we dwoje to nie pasuje...“

„Chyba wyście, Abramie, zwarjowali na starość... Co też wam do głowy przychodzi!... czy myślicie może, że ja się was boję? Koniec świata prawdziwie!... jak żyję, nic podobnego nie słyszałam...“

„Niech się pani nie obraża, niech się pani nie gniewa... Pani wiadomo, że ja jestem stateczny żyd, stary człowiek i że mam w głowie same skórki; mnie też wiadomo, że pani Kogucińska jest kobieta stateczna, też już nie młoda...“

„No, no... chyba mi Abram w zęby nie zaglądał...“

„Aj, aj! o co się gniewać? Pani Kogucińska jest kobieta godna, porządna a w tej chwili

5

ma w głowie tylko trochę soli, trochę pieprzu i trochę korali... więcej nic. Oddzielnie to pani Kogucińska jest osoba, i ja też jeszcze jestem osoba... ale w drodze to my potrzebujemy jeszcze jednej osoby... Niech Koguciński jedzie z nami".

„Mówiłem, że o pozwolenie trzeba prosić".

„To co? jechać na leśniczówkę i poprosić".

Koguciński spojrzał na żonę, a ta skinęła głową nieznacznie, poszedł więc konia zaprządz. Baba wybiegła do komory, aby się ubrać do drogi i pieniędzy wydobyć trochę z ukrycia. Abram sam w izbie zostawszy, grzał ręce przy kominie i myślał.

Przedewszystkiem zastanawiał się nad tem, skąd dostać korali, po które Kogucińska jedzie, bo te, o których jej opowiadał, istniały tylko w jego fantazji. Trzeba było czemś babę zainteresować, ułagodzić jej gniew, skłonić do zniżenia ceny skórek, więc Abram wymyślił korale. Cóż teraz robić? Przedewszystkiem trzeba korzystać z bezpłatnej furmanki i wygodnie pojechać do domu; w domu poprosić żony, żeby przepytała znajome żydówki, czy która nie ma jakich korali na sprzedaż. Jeżeli znajdzie się taka, to dobrze, można będzie od

jednej i od drugiej strony coś zarobić; jeżeli się nie znajdzie, to także dobrze. Abram powie, że właścicielka korali akurat na ten czas wyjechała na parę tygodni, a przez ten czas można będzie nietylko jeden sznur, ale choćby całą ćwierć używanych ozdób kobiecych sprowadzić.

W najlepszej harmonji i zgodzie państwo Kogucińscy i Abram usadowili się w sankach i pojechali. Abram obliczał w duchu, ile na skórkach zarobi; baba marzyła o koralach, a Koguciński o osobliwej jakiejś wódce, do której miał zawsze pociąg.

Leśniczy, aczkolwiek z trudnością, pozwolenie udzielił, podróż odbyła się pomyślnie. Po dokładnem wybadaniu wszystkich niemal żydówek w miasteczku, pokazało się, że korali niema. Abram musiał opowiedzieć historję o niespodziewanym wyjeździe właścicielki.

Kogucińska wpadła w bardzo zły humor, ale Abram nie wzruszył się tem wcale. Od tego jest mąż, niech on cierpi.

V.

„Oj, Mateuszu, Mateuszu“, mówił Abram wzdychając, „na świecie niezawsze dobrze

jest. Człowiek żyje, handluje, czasem trochę szachruje, zarobi albo straci, ma z tego kawałek chleba“.

„Ha, jak na świecie. Każdy podług swojej kalkulacji“.

„Nie do tego ja moją mowę prowadzę, Mateuszu, wcale nie do tego. Zarobić każdy potrzebuje, tak czy owak, zapłacą mu lepiej, albo gorzej, to zwyczajna rzecz, na to jest świat, na to jest handel; ale czasem trafi się taki interes, co nie jest handlowy, a gorszy niż najgorszy handel“.

„Nie wiem, o czem chcecie mówić“.

„Moi kochani, narzekacie nieraz, że obrachunek z żydem jest ciężki; ale wierzcie mi, że sto razy cięższy jest rachunek z ludzką sprawiedliwością. Z żydem może być tylko kwestja o parę złotych, o parę rubli: wy mówicie, że dajmy na to dziewięć, ja powiadam cztery; wy trochę opuścicie, ja cokolwiek postąpię, zgodzimy się na cztery i pół. Jest jedna kwestja tylko: wam chodzi o pieniądze i żydowi chodzi o pieniądze, więcej o nic. Z sądem wcale co innego. Spalił się żydowski dom, dla czego nie miał się spalić? przecież nie jest ze szkła, tylko z drzewa, płaci się od niego fajerkasę, podatki.

Spalił się. Kogo to ma obchodzić? Gospodarza. Tymczasem wdaje się w ten interes sąd. Pyta się. O co? Wiadomo, że ogień to jest ogień, nieszczęście, zdarzenie, wypadek, prawda, Mateuszu?"

„Juścić prawda".

„No, widzicie; a sąd powiada, że nie: że ogień nie jest wypadek, ani nie jest zdarzenie, tylko podpalenie, i zaraz gwałt, pisanie, sprawa, kryminał, cała awantura".

„Znaliście młodego Icka Kruka?"

„Dyć znałem".

„Bardzo porządny żydek, krewny mój nawet; handlował sobie spokojnie solą, postronkami smołą, olejem, naftą, zwyczajnie jak kupiec. Miał też połowę domu obok czarnego Berka. Było nieszczęście, ten dom się spalił, i dom, i smoła, i nafta, i postronki, i ośmnaście domów obok. Było niemało zmartwienia. Icek płakał, Ickowa mdlała, dzieci pochorowały się ze strachu. Czy to małe nieszczęście? Widać, że jeszcze za małe, bo przyszli dwaj strażnicy i zabrali Icka do kozy".

„A wiem, już chyba półtora roku siedzi".

„Siedzi i jeszcze będzie siedział, i za co? Za to, że mu się dom spalił, za to, że Icek han-

dlował olejem, smołą i naftą. Co w tem za grzech? Przecież nie każdy może handlować brylantami. Oj, to jest ładne życie, Mateuszu!“

„I co z nim będzie?“

„Nie wiadomo; sprawa ta w apelacji. Adwokat powiada, że Icek wygra“.

„Oj!“

„Wygra, to znaczy, że pójdzie na cztery lata do kryminału“.

„No, więc przegra“.

„Podług adwokackiego powiadania wygra: bo mógłby dostać wyrok na ośm lat, a tak będzie miał cztery lata w zysku. Taki młody, porządny żydek, co on już wycierpiał!“

„Powiadają, że w kryminale źle nie jest“.

„Jak dla kogo. Chłop taki, co potrzebuje na kawałek chleba siekierą pracować, albo łopatą, to ma w kryminale rajskie życie. Dostanie dobrze jeść, może leżeć cały dzień i nic nie robi. Ale żydek wcale co innego. On handlujący jest, musi się ruszać, jeździć, myślenie mieć, rozmaite interesa prowadzić. Z kim je będzie w takiem paskudnem miejscu prowadził? Każdy dzień to jest czysta strata. Po co te sądy wymyślili, ja nie wiem. Tylko na przykrość ludzką, na nieszczęście“.

„Aj, mam i ja z nimi dosyć skrętu“.

„Albo nie? W tej chwili pewnie wolelibyście spać, i jabym wołał spać. Jest noc, jest zimno, a my musimy siedzieć na saniach i wlec się do sądu, żeby rano już stać przed kratkami. Za co? Za to, że was posądzili o dąbek. Ja wiem, żeście go ukradli; wy powiadacie do mnie pod sekretem, żeście go wzięli, a sędzia będzie gadał, żeście go nie wzięli, tylko ukradli. Chciałbym ja kiedy na swoje stare lata zobaczyć taką sztukę, żeby kto czego nie wziął, a ukradł. Chybaby samo do niego przyszło, a w takim wypadku też nie byłaby kradzież, tylko przyjście. Dużo złego jest w świecie, Mateuszu, dużo krzywdy, niesprawiedliwości, przykrości“.

Rzekłszy to, Abram westchnął kilka razy głęboko i jęknął, jak gdyby owe niesprawiedliwości ludzkie sprawiały mu ból fizyczny w głowie, w sercu, w wątrobie i we wszystkich kościach.

Było ciemno, droga wyboista, nierówna. Mateuszowa szkapa wlekła się powoli, a właściciel nie przynaglał jej do pospiechu. Nie jadą przecież na wesele, tylko do sądu; a choćby

człowiek był niewinny jak nowonarodzone dziecko, to także po wyrok nie pędzi jak szalony.

Kilku żydków, mających stwierdzić, że Mateusz czwartkową noc przepędził w miasteczku, wyjechało pierwej na wynajętej furmance. Opuścili oni swe ogniska domowe jeszcze za dnia, gdyż mieli zamiar zrobić w okolicy kilka tranzakcji na kury, jaja, masło i inne produkta gospodarskie. Abram z Mateuszem razem pojechał, bo mu tak było najdogodniej; przytem w drodze, po nocy, handlarz skórek bezpieczniejszym się czuł w towarzystwie swego generalnego dostawcy i przyjaciela.

„Co wam tak dolega, Mateuszu?“ zapytał Abram. „Czy boicie się o sprawę? Wierzcie mi, że nie ma o co. Nie z takich interesów ludzie wychodzą. A może martwicie się, że tej zimy bardzo lasów pilnują? I to bajki. Ja wiem, że przed wami oni niewiele upilnują. Aj ten koziołek, cośmy go temu trzy tygodnie przehandlowali, to był piękny kawałek zwierzyny! Na moje sumienie, śliczna sztuka. On pewnie z hrabiowskiego lasu pochodził?“

„A juści“.

„Wy jesteście cały mechanik, Mateuszu, na tyle gajowych, co tego lasu pilnują, potraficie...“

„Ej, co tam! żeby ich było dwa i trzy razy tyle, nicby mi nie zrobili, zresztą nie zabiłem koziołka w hrabiowskim lesie, ale na chłopskim gruncie pod lasem“.

„Mój Mateuszu, skąd wyście mogli wiedzieć, że on tam jest?“

Chłop się roześmiał.

„A skąd Abram wiedział, że u Kogucińskiego są skórki z tchórzów?“

„Koguciński mi mówił, a wam koziołek nie mógł powiedzieć...“

„Ja też go nie pytałem“.

„Ciekawość, doprawdy, jak wy z tą zwierzyną radzić sobie umiecie! A może macie sposoby sekretne?“

„Co o tem gadać... Człowiek zabiega i pracuje, jak umie, aby dalej, aby dalej do śmierci...“

„Fe, Mateuszu, wstydźcie się. Co wy macie za przyjemność ciągle tylko śmierć wspominać!... co w niej dobrego? Człowiek nie powinien tego słowa wymawiać, bo czasem można w złą godzinę... Wam się zdaje, że

jak człowiek umrze, to mu już dobrze... Aj, Mateuszu, jemu wcale niedobrze, bardzo niedobrze; jemu przykro, on jest przestraszony, on cierpi, on się boi, on krzyczy".

„Bajki!... skoro umrze, to już nie cierpi; a jeżeli żył uczciwie i przykładnie, według przykazań Boskich, jeżeli nie pomarł w grzechu, to mu na tamtym świecie lepiej. Tam wszyscy równi, wszyscy pocieszeni, szczęśliwi..."

„To wszystko może być, Mateuszu... ale ja wolałbym do końca świata skórami handlować; na tamte szczęśliwości zawsze człowiek ma czas. One nie uciekną i nie ominą... Są na świecie ludzie uczeni, mądrzy, nabożniki; oni się znają na piśmie, oni wiedzą, co było, co jest i co będzie; dla nich nie sekret, co w wodzie, co na ziemi, co między gwiazdami; oni mają sposoby na złe duchy, mogą się z nimi mocować, bić, szarpać; znają sposób na sposób, figiel na figiel; potrafią odpowiedzieć na każde pytanie, odwrócić kota ogonem i znowu łbem i znowu inaczej; oni mogą rozpoznać każdą rzecz z wierzchu, z pod spodu, ze wszystkich czterech boków i ze środka; oni mają kombinacje swoje, obrachowania... a jednak, wierzcie mi, Mateuszu, i dla nich, i dla takich

.lędrców, śmierć jest straszna... mówić o niej nie lubią. Dlaczego? To bardzo prosty interes. Oni wiedzą, jak odpędzić złego ducha; oni wiedzą, jak poradzić na złe oko; oni mają sposób na zrobienie kozła z barana... ale na śmierć nic nie mogą poradzić. Pomimo ich mądrości, ludzie umierają, giną jak muchy".

„Juścić prawda", rzekł Mateusz.

„To widzicie, jedni; prócz nich, są drudzy... nawet wstyd przyznać, między naszymi żydkami. Są paskudniki, bezbożniki, apikoresy, niedowiarki, zdrajcy, trefniaki, gałgany, którzy powiadają, że człowiek zaczyna się w tej godzinie, w której na świat przychodzi, a kończy się wtedy, gdy ostatni dech oddaje... Ci mówią, że to, co tu na ziemi, to nasze, a potem nie ma nic".

„O, to nieprawda".

„Te łajdaki powiadają, że prawda... i dlatego, że tak powiadają, i że w to wierzą, boją się śmierci jak ognia. Teraz, czy wiecie, Mateuszu, dlaczego ja wam to mówiłem?"

„No, dlaczego?"

„Dlatego, żebyście się przekonali, że i nabożny człowiek i apikores, gałgan, co niby jest żyd, a nie żyd, co za rubla może się zrobić na-

wet cyganem albo Turkiem, także śmierci nie lubi i nie pragnie. Ja wam więcej powiem: to nasze życie, tu na ziemi, to jest gotówka, moneta; dla jednego czyste złoto, dla innego same miedziaki, ale zawsze moneta; tamto znów drugie życie, za światem, to tylko kwitek, karteczka od uczonych ludzi. Cóż lepsze: gotówka czy kwitek?“

„Nie obrażajcie Boga, Abramie. Jego obietnice z kwitkiem równać... grzech“.

„Ja wcale nie równam, tylko mówię, że to co jest, jest; a to, co będzie, nie jest to, co jest. Prócz tego, wiadomo dobrze od nabożników i uczonych, że dusza od ciała nie oddziela się łatwo i że musi przy tem dużo cierpieć“.

„O! o!...“

„Nie myślcie, że jest inaczej. Najpierw, biedny chory, co mu już koniec życia przeznaczony, ujrzawszy anioła śmierci, przeraża się okropnie, tak, że ani słowa z wielkiego strachu przemówić nie może; po drugie, ciało jego cierpi. Nie wiem, czy zrozumiecie moje słowa, więc chcę wam dać przykład. Człowiek żyjący, ciało i dusza, to jest jedno, całość; dusza sama jest część człowieka. Chcecie poznać, jaki jest smak odrywania części od

całości, to idźcie do cyrulika i każcie sobie wyrwać parę zębów, albo dajcie psu rękę, żeby odgryzł od niej palec, a przekonacie się, jakie to cierpienie. Cóż dopiero, kiedy się odrywa od ciała dusza, która nie jest przyszyta, jak kołnierz do kapoty, ale siedzi głęboko we wszystkich dwustu czterdziestu ośmiu częściach człowieka! Aj, Mateuszu, korek z butelki wyjąć... i to trudno, cóż dopiero duszę z ciała!“

„Widziałem ja ludzi, którzy umierali cicho, spokojnie, bez krzyków i bez strachu... ot, niejeden przysposobi się na śmierć, a gdy ona przyjdzie, westchnie tylko i już po nim... Dusza uleci, niby gołąbek, a umarły leży sobie, jakby spał. Owszem, wypięknieje nawet na gębie i uśmiech taki ma, jakby mu bardzo błogo było...“

„Niech nasze wrogi taką błogość w sercu mają! Wy jesteście gruby człowiek, wy się nie znacie na takich interesach, wy nie wiecie nic...“

„A cóż wam wiadomo?“

„Nawet nie wiem, czy warto wam opowiadać, czy wy potraficie to zrozumieć“.

„Ha, dlaczego nie? toć się słyszało niejedno“.

„Nie będę wam mówił, jak wygląda anioł śmierci... niech jego moje oczy nie widzą!... nie będę wam mówił, z jakim bólem dusza z człowieka wychodzi... bo powiadacie, że ona wyfruwa, jak ptaszek... Dobrze, ale co dalej ten ptaszek robi? z kim ma do czynienia?“

„Albo ja wiem, jak po waszemu tłomaczą takie rzeczy“.

„Słuchajcie. Jeżeli człowiek myśli o nabożnych rzeczach, jeżeli się modli, jeżeli czyni dobrze, daje jałmużnę, jedzie do rabina, mówi sprawiedliwe słowo... to z każdego takiego pomyślenia, mówienia, czynienia rodzi się anioł. Jeżeli znów ten człowiek źle myśli, opuszcza modlitwę, mówi paskudne słowo, źle robi... to z każdego takiego pomyślenia, mówienia, czynienia rodzi się djabeł. Gdy dusza wychodzi z ciała i idzie do góry, przylatują ci wszyscy aniołowie i ci wszyscy djabli, chwytają duszę, szarpią, ciągną do siebie, z gwałtem, z krzykiem, z bitwą. Robi się okropna wojna, szum... jedna strona chce mieć górę, druga także. Czy to żarty są?“

Chłop kiwał głową przecząco, a Abram mówił dalej z zapałem:

„Jak kury o ziarnko zboża, tak oni, ci dobrzy i ci źli, wojują o duszę... a dla duszy to przykro jest“.

„Wiadomo, że skoro broiła, to musi cierpieć“.

„Ej, choćby nie broiła, to też w pierwszej chwili ma duży ambaras. Ona cierpi i ciało cierpi“.

„Nie plećcie oto! Jakże nieżyjące ciało może cierpieć?“

„Co wy wiecie!“ rzekł niechętnie Abram. „Powiadacie, że ciało nie cierpi, niech i tak będzie, a ja wiem, że cierpi“.

Abram umilknął, a w duchu rozmyślał o strasznym aniele, który chodzi ślad w ślad za aniołem śmierci i szarpie wnętrzności umarłych, czem im sprawia ból niesłychany. Sama myśl o tem przejmuje drżeniem i strachem.

Mateusz odezwał się:

„To wy dużo jednak wiecie różności“.

„Ja niewiele, ale są tacy, co wszystko wiedzą jak najlepiej. Nie każdy może mieć to szczęście. Oni się uczą i uczą, od małego

dziecka aż do późnej starości, do samej śmierci siedzą nad księgami. Oni wiedzą o duszach.

„Cóż mogą wiedzieć? Dla dobrej duszy na tamtym świecie nagroda, dla złej kara: oto i wszystko“.

„Wy Mateuszu, jesteście pierwszy majster na zwierzynę, ale do delikatnego myślenia mechanik z was zły. Wy tylko wiecie, że bywa źle albo dobrze; ale jak bywa źle albo dobrze, co w tem dobrem albo złem jest za interes, to wy wcale nie wiecie. Wam się zdaje, że koza to koza, kura to kura, a gęś gęś“.

„Ha, ha! A czy wiadomo, co w niej we środku jest?“

Chłop się na cały głos śmiać zaczął.

„A toć dopiero historje! co jest w gęsi! Grzdyka, wól, lekkie, wątroba“.

„Aj, aj! lada baba wie“.

„No, a wy się pytacie“.

„Ja się pytam, bo chcę was nauczyć, co się może dziać z duszą ludzką po śmierci“.

„Toć dusza nie gęś“.

„No, a co wy myślicie? Może gęś była kiedyś znaczną kupcową, nosiła perły na szyji, pyszniła się ze swego bogactwa, sklepu, dzieci, może ona gęgała ludzkim głosem, szczypała nie

dziobem, ale rękami, lubiła się sprzeczać ze swoim gąsiorem, niedomierzyć płótno w sklepie".

„Ha, toć nie gęsi tak robią, jeno żydówki".

„Aj Mateuszu! nie wiadomo, w jakie stworzenie dusza ludzka może się dostać. W niejednym narownym koniu siedzi szlachcic i szarpie się, dopóki go żydki nie ujeżdżą; w niejednej kozie ma swoje posiedzenie ubogi żydek handlujący, w wielu wołach siedzą najprawdziwsi chłopi. Ja słyszałem o jednym złym człowieku, co wielu biednych ukrzywdził i gałgan był. Wiecie, co się z nim stało?"

„No?"

„Dusza jego weszła, za pozwoleniem w kurę. Ten człowiek kurą został i należał po koleji do wszystkich, których ukrzywdził".

„To ci komedja!"

„Ładna komedja! On musiał ciągle jajka nosić, dopóki nie zniósł tyle, ile wartość krzywdy wynosiła".

„Abramie" przerwał Mateusz, „mnie się widzi, że takiem prawem wasza dusza wejdzie w zająca".

„Tfy!"

„Skoroście skórkami handlowali, może was jeszcze kiedy na wnyk złapię“.

„Wstydźcie się! paskudną gębę macie, nie można z wami rozmawiać jak się należy“.

„Bo też gadacie nie wiadomo co“.

Abram przestał mówić. Gniewał się, że ciasna, zakuta, chłopska głowa delikatnego słowa nie chce zrozumieć. Czy warto rzucać perły przed takim? Nie.

Noc już była na schyłku, na wschodzie zaczynało przeświecać, w oddaleniu błyszczało czerwone światełko.

„To w karczmie na Wygnance się świeci“, rzekł Mateusz.

„Pewnie; Berek bardzo rano wstaje“.

„Widać przejezdni są“.

„Berek zawsze rano wstaje, a czasem nawet się wcale nie kładzie. On ma taką naturę, że w powszedni dzień nie lubi spać, woli się wyleżeć w szabas. Dla niego dość zdrzemnąć się trochę za stołem i już na całą noc jest gotów“.

„Powiadają ludzie, że on nie bardzo czyste interesa prowadzi“.

„Co plotek słuchać, na was powiadają, że drzewo z lasu kradniecie, a to przecież nie-

prawda. Tak samo i o nim mówią, że lubi kupić jaką rzecz i nie pytać skąd ona pochodzi. Po co ma pytać, przecież nie jest ani sędzia ani prokurator, jest biedny żydek, handluje czem się trafi, aby żyć“.

„Nie zawsze jego handle piękne są“.

„Aj, Mateuszu, jaki z was dziwny człowiek! nie zawsze piękne jego handle! a czy on ma swoje dobra ziemskie? czy jest wielkim panem? czy ma dochody jakie? Nie ma nic, żyje z wiatru, a wiadomo, że kto z wiatru żyje, musi brać to, co wiatr mu przyniesie. Że wiatr nie przynosi ani złota, ani brylantów, ani pereł, tylko za pozwoleniem śmiecie i lekkie rzeczy, to nie jest wina ani Berka, ani moja, tylko wiatru.

Szkapa nie zatrzymywana przez Mateusza przed karczmą stanęła.

„Widzicie“, rzekł Abram, „wasz koń też ma rozum, a może też siedzi w nim taka dusza, co za życia lubiła stawać przed karczmą...“

Wygramolili się z sanek; Mateusz rzucił koniowi wiązkę siana, poczem obydwaj z Abramem udali się do Berka.

VI.

Przed chałupą, w której posiedzenia odbywał sąd gminny, było bardzo gwarno. Na ulicy stało kilkanaście furmanek, przy płocie kilka koni osiodłanych, a i pieszego ludu zgromadziło się niemało. Chłopi, baby, żydzi stali grupami, rozmawiając, gestykulując, krzycząc. Dwaj chłopi, którzy byli skłonni do polubownego załatwienia sprawy, omawiając punkta przedugodne, zaczęli się przekomarzać, popychać, szturchać, nareszcie pobili się na piękne, i gdy ich rozdzielono, jeden miał podbite oko, a drugiemu brakowało dwóch zębów. Obecny przy tem pokątny doradca wygłosił zdanie, że zapalczywi chłopi w nieszczęściu mają szczęście, bo gdyby fakt zdarzył się nie przed sądem, lecz w sądzie, to rzecz pachniałaby kryminałem.

Abram ledwie mógł się powstrzymać od śmiechu, usłyszawszy te słowa. Co za różnica, pomyślał, czy wybić komu zęby na świeżem powietrzu, czy pod dachem!

Zagadnął też pokątnego doradcę.

„Panie adwokacie“, rzekł, „pan umie wszystkie kodeksy na pamięć?“

„Phi! nawet więcej“.

„Co pan głowę chłopom zawraca temi sądowemi zębami?“

„Nie znasz się, Abramie, na procedurze sądowej, lepiej swoich skórek pilnuj“.

„No, właśnie, że ja swojej pilnuję i dlatego pan adwokat nie miał jeszcze, Bogu dzięki, żadnej sprawy ode mnie“.

„Za dużo gadasz, panie Abramie, a to nie jest bezpieczne“.

„Oj, oj, jak dla kogo, co ja mogę do tego interesu dołożyć? ja chłopom zębów nie wybijam“.

„Ale w sądzie Abram bywa, sprawy ma“.

„Tak czasem. Komu się nie trafi być w sądzie?“

„Z sądu do kryminału niedaleko...“

„No, to po co pan adwokat codzień w sądzie jest?

„Słuchaj-no, Abramie, to obelga“.

„Jaka obelga, to może być dobra rada, ostrzeżenie“.

„Żebyś ty zmarniał, gałganie“.

„Mnie się zdaje, że to jest prawdziwa kodeksowa obelga“.

„To jest tylko przyjacielskie życzenie“.

Rzekłszy to, pan adwokat splunął i odszedł.

„Widzi mi się, Abramie“, rzekł Mateusz, „że was ten kręciciel trochę obraził, ja mogę być świadkiem“.

„Na co?“

„Żebym świadczył, jako prawda“.

„I co z tego?“

„Niechby się choć strachu najadł“.

„Po co? Żeby się procesować z każdym psem, co szczeka, toby człowiek nie handlował skórkami, nie kupował od was zwierzyny, tylkoby musiał mieszkać koło sądu i codzień tam chodzić“.

„Juści i to prawda“.

„Skoro Abram co mówi, to zawsze prawda. Abram nigdy żadnego fałszu nie robi“.

„No, czasem, jak to kupujecie...“

„Aj, Mateuszu, Mateuszu, sami sprawę macie, koło sądu stoicie, i nie możecie zrozumieć, że co innego fałsz, a co innego rachunek. Jeżeli teraz, rano, ja powiem, że jest noc, to będzie fałsz; jeżeli gdy wy żądacie trzy ruble, a ja powiem, że wam się należy tylko półtora, to będzie rachunek. Zając nie jest kuna, a kuropatwa nie sarna; tak samo fałsz nie może być rachunkiem, ani rachunek fałszem“.

Na drodze dał się słyszeć brzęk dzwonków od sani.

„Sędzia jedzie, sędzia jedzie“, zawołano w tłumie.

Przed dom, w którym się sąd mieścił, zajechały sanie duże, szerokie, ciągnione przez parę ospałych kasztanów. Z sani wysiadł mężczyzna tęgiego wzrostu, z dużemi blond wąsami, w ogromnem futrze wilczem, i wszedł do sądu.

Po chwili wybiegł stamtąd stróż, chudy człowieczyna, o dziwnie bladej twarzy, z nosem czerwonym i małemi zaspanemi oczkami.

Stanął na ganku i zawołał:

„Którzy ludzie sprawy mają, niech się nie rozłażą, bo zaraz się sąd zacznie, a co z woza spadło, to przepadło“.

Wszyscy hurmem zbliżyli się do świątyni Temidy, w której pan pisarz ze spiczastą bródką w jasnożółtawym krawacie i ciemnozielonej marynarce już rozkładał papiery i akta.

Zaraz też wszedł do sali sądowej sędzia, ów właśnie z wielkiemi wąsami i dwaj ławnicy chłopi, którym odrazu na widok papierów spać się zachciało, gdyż usposobienie do snu okazali ziewaniem.

Osądzono kilka spraw cywilnych bardzo szybko. Żydzi w charakterze powodów występujący nie mieli nawet sposobności do rozwinięcia swej wymowy. Sędzia nie pozwolił im mówić ani o cierpieniach moralnych jakie przeszli, ani o nocach przepędzonych bezsennie z powodu, że Wojtek o terminie zapomniał, ani o utracie zdrowia, fatydze, darciu butów i podobnie ciężkich, oraz jeszcze cięższych przejściach. Sąd wydawał wyroki szybko, bo i nie miał na co czasu tracić. Winien jesteś, podpisałeś, płać i rzecz skończona. Procedura bajecznie prosta i łatwa. To też jak w kalejdoskopie (kaleidoskop z greckiego kalos piękny, eidos postać, skopeo patrzę; a więc razem po polsku przyrząd do patrzenia z kawałkami szkła różnokolorowego, w którym się widzi coraz inne figury) szybko przesuwali się w przybytku sprawiedliwości gminnej: Abram przeciw Wojtkowi, Jojna przeciw Maćkowi, Symcha przeciw Jacentemu. Pan sekretarz ze śpiczastą bródką smarował wyroki, aż pióro trzeszczało, a chłopi z podziwieniem patrzeli na jego rękę białą, suwającą się po papierze. Raz, dwa, trzy i już człowiek osądzony... lada dzień spadnie na niego wójt z pisarzem,

opisze pięknie krowę, konia, pościel, sprzeda je na licytacji, i dobrze.

Po krótkim odpoczynku w sali narad, a właściwie w małym i dusznym alkierzyku, sąd przystąpił do rozstrzygania spraw karnych. Te nie szły tak szybko, jak cywilne; czytanie skargi, badanie obwinionego i świadków, obrony i repliki zajmowały wiele czasu, i były nużące tak, że gdyby nie tabaka obficie zażywana, ławnicy zasnęliby na dobre.

„Mateusz Sikora, oskarżony o kradzież drzewa z lasu“, zawołał donośnym głosem pan sekretarz.

Rozpychając łokciami tłum, Mateusz wystąpił przed kratki i pokłonił się nizko.

Skarżącym był pan Barnabo, ekonom folwarku, mąż, jak się niebawem przekonamy, w piśmie biegły, nawet stylista, głęboko pojmujący wartość skradzionego dąbka i zadanie sądu.

Przytaczamy, dla jasności rzeczy, dosłowny tekst skargi, na skutek której Mateusz stanął właśnie przed kratami.

Brzmiała ona tak:

„Prześwietny sądzie! Wiadomo, że ze wszystkich szelmów i gałganów polnych,

leśnych i wodnych, jakie ta święta ziemia żywicielka nasza nosi, i dziw, że nie otworzy się i żywcem ich nie poźre, najgorszy i najprzebieglejszy, we wszystkich sztuczkach wypraktykowany jest Mateusz Sikora, włościanin ze wsi Kurki, żonaty, dzietny i trudniący się wszelkiem łajdactwem, jako to polowaniem na cudzym gruncie, łapaniem zwierzyny w sidła, tudzież kradzieżą w lasach należących do J. W. mego dziedzica, co jest przezemnie strzeżone niby oko w głowie, albo jeszcze insza droższa rzecz, że więc nocy czwartkowej przerzeczony Sikora z imienia Mateusz, z pochodzenia włościanin, z profesji łapacz zwierzyny i złodziej leśny, nocy czwartkowej dąbek w lesie ściął, na furę zabrał i takowy ukradł, czego świadkiem Kogut v. Koguciński Jan, gajowy lasów dominialnych, na oczy własne widząc, upraszam prześwietnego sądu, aby za dąbek zapłacił, a za leśne łupiestwa skazany był godnie, bo z takich to ludzi pasy drzeć albo smołą malować, pierzami osypywać i ze wsi wypędzać, co że dziś już się nie praktykuje, więc chociaż do kryminału o wpakowanie takowego upraszam, bo inaczej cały nam las wywiezie i zwierzynę wydusi, że na lekarstwo nie zostanie

choćby dziesięć rubli za zająca dawszy, sprawiedliwości słusznej prześwietnego sądu upraszam".

„Mateusz Sikora!" zawołał sędzia.

„Jestem tu", odrzekł oskarżony, spuszczając oczy.

„Czy przyznajesz się do winy?"

„Nie".

„Nie kradłeś drzewa w lesie?"

„Nie".

„Gdzie byłeś nocy czwartkowej?"

„W mieście".

„Prześwietny sądzie", zawołał Barnaba, „on szczeka jak pies..."

„Cicho!... zawołać Kogucińskiego..."

Gajowy lasów dominialnych stawił się przed kratkami.

„Jak się nazywasz?"

„Koguciński Jan".

„Jesteś gajowym?"

„A juści, prześwietny sądzie".

„Żonaty?"

Koguciński westchnął ciężko.

„A dyć..."

„Co ci wiadomo o kradzieży drzewa?"

„Juści wiadomo, że to niczyja sprawka, jak Mateusza Sikory“.

„Widziałeś?“

„Widzieć nie widziałem, ale wiedzieć to wiem, bo on na takie interesy majster pierwszy“.

„Powiedz mi świadku, kto ci podbił oko? czy nie ten sam człowiek, który drzewo kradł?“

„W służbie leśnej, prześwietny sądzie, taka przygoda częsta, ale w tem zdarzeniu nie złodzieje mi znak na gębie zostawili...“

„Któż więc?“

„A to dopraszam się łaski prześwietnego sądu... przemówiłem się z żoną...“

W sali zrobił się szmer, nawet ponury Mateusz uśmiechał się pod wąsem.

„Niechże świadek opowie szczegółowo, co mu o kradzieży wiadomo“.

„Dużo mi wiadomo, prześwietny sądzie! Spałem sobie nieco, jako że była noc, aż słyszę piesek mój szczeka, zaraz poznałem, że w lesie są złodzieje. Odziałem się w kożuszynę, wziąłem strzelbę dla życia swego obrony, siekańcami była nabita, i wyszedłem przed dom. Cichość była, a z daleka kołacze

coś raz za razem, właśnie jakby ktoś drzewo ścinał. Jeno nie ścinał, jak to ludzie robią, tylko dziabał raz za razem, nie mocno, żeby wielkiego łoskotu nie robić. Właśnie że to było akurat w moim obrębie, w kotlinie, co ją nazywają „Lisicha", przeżegnałem się krzyżem świętym i idę, ma się rozumieć powoli, żeby ptaszków moich nie spłoszyć".

„Mówicie: ptaszków", rzekł sędzia, „więc złodziei było kilku?"

„Pewnie, że kilku".

„Ale ilu, dwóch, trzech?"

„Nie mogłem porachować, gdy ich nie widziałem".

Barnaba nie wytrzymał, musiał wtrącić uwagę:

„Koguciński złodzieja nie może zobaczyć, ale pensją i ordynarją dobrze widzi".

„Toć nie jestem za pozwoleniem, kot, ani sowa, żebym w nocy mógł widzieć, odciął się Koguciński".

„Do rzeczy, do rzeczy", odezwał się sędzia. „Niechże Koguciński powie, ilu złodziei było?"

„Prześwietny sądzie, nie mogłem poracho-wać, bom ich na oczy nie widział“.

„Skądże więc domysł?“

„A tak, ja idę za łoskotem, gdzie niby złodziej rąbie, a ten łoskot naraz słychać gdzie-indziej, rąbał ktoś od wschodu, nagle zaczyna od południowej strony, tuż przy mnie. Zdaje się, że dość ręką sięgnąć, aby go złapać, ja też w te pędy, przypadam, tfu! nie ma nikogo. Rozstąp się ziemio! przepadł, a tu znowu za-czyna prawie że za mojemi plecami. Już em się rozjadł i sprawiedliwie powiadam, żebym był tylko zobaczył kto mi, takie sztuki robi, tobym nie zważając co będzie, strzelił, jak do jasnej świecy. Coraz tak mnie zwodzili, to tu, to siu, zdeptałem het las... bo mnie ganiali i wodzili do samego rana. Dopiero już na rozwidku do-padłem do miejsca, gdzie naprzód stukało. Pa-trzę, dąbek ścięty ładnie, przy ziemi, czyściuch-no, wierzch odpiłowany i też zabrany, jeno ga-łęzie zostawione. Szukam śladów, ba! szu-kajże, zdeptany śnieg w około i skotłowany. Ja sam go najwięcej zdeptałem, biegając od drzewa do drzewa.

„To byli chytrzy złodzieje“, wtrącił ła-wnik, „kradli z omanką“.

„A z omanką, proszę prześwietnego sądu, ścinał jeden drzewo naprawdę, drudzy manili i wodzili mnie po lesie“.

„Jakże dalej było?“ spytał sędzia.

„Rozwidniło się już całkiem“, prawił Koguciński, „ludzkich śladów nie oglądałem, bo najwięcej było moich własnych, ale szedłem za śladami sani. Wyraźny był znak, że przyjechał od gościńca, koło dąbka stanął, zawrócił i wywiózł go też na gościniec. Szkapa była tylko na przednie nogi kuta i podkowy miała stare, stępione, właśnie jak Mateuszowy koń“.

„Prześwietny sądzie“, rzekł Mateusz, „kowal żyjący jest, może poświadczyć, jako tydzień temu okuł mego konia na ostro, jeszcze mu nawet nie zapłaciłem“.

„Przez tydzień podkowy mogą się stępić“, rzekł Koguciński. „Co się macie zapierać Mateuszu, lepiej się przyznajcie po dobroci, to sąd będzie dla was miłosierniejszy i koza lżejsza“.

„Idźcie wy!... Do czego mam się przyznać, skoro nie tylko dąbka, ale nawet patyka marnego nie ruszyłem?“

„Sikora nie po raz pierwszy oskarżony jest o tego rodzaju sprawki“, rzekł sędzia.

„Złych ludzi nie brak na świecie“, odrzekł chłop poważnie, „skarżyć mogą bo sąd prześwietny jest cierpliwy i lada bajów słucha, ale za rękę nikt mnie nie złapał“.

„Niech Koguciński mówi dalej“.

„Prześwietny sądzie. Powiadam i mówię sprawiedliwie... odrazu miałem na Mateusza posądek, bo nawet kiedyś spotkałem go w lesie i widziałem, jak się owemu dąbkowi przyglądał, właśnie tak patrzał na niego miłosiernie, jak kot na sadło, aż się oblizywał, bo też to, proszę prześwietnego sądu, i dąbek był ładny, czy na powalinkę, czy na słupy samo prawie. Tedy pewny byłem, że to Mateuszowa sprawka; żeby zaś z gołą gębą do prześwietnego sądu nie przychodzić, pobiegłem na wieś, wprost do jego chałupy. Pytam o Mateusza, powiadają, nie masz go; zajrzałem do stajni, konia niema, mówię do jego baby: „Moja Mateuszowa, pożyczcie mi siekiery, bo moją ktoś ukradł“. Baba szuka po kątach, siekiery niema. Jego niema, konia niema, tedy jasne jest, że dąbek ukradł nie kto inny, tylko Mateusz“.

„Prześwietny sądzie! zawołał ekonom, „niech prześwietny sąd wyda surowy wyrok,

według tego, żeby na drugi raz cudzego drzewa nie ruszał".

„Co ma na swoją obronę Mateusz Sikora?" zapytał sędzia.

„Po sprawiedliwości powiadam, że Koguciński baje jakby się szaleju objadł, ani mnie nie widział w lesie, ani mnie na uczynku nie złapał, bo i nie mógł złapać skorom nie kradł".

„A gdzieżeście byli w czwartkowej nocy?"

„W mieście, prześwietny sądzie, z żydami miałem do czynienia".

„Całą noc?"

„Do czynienia miałem w dzień i wieczór, a w nocy spałem".

„Gdzie?"

„U Abrama Pinkta".

„Któż to widział?"

„Właśnie Abram tu jest i jeszcze cała gromada żydów, co może zaraz poświadczyć, jako powiadam szczerą prawdę, bez żadnego kręcicielstwa".

Sąd zgodził się na zbadanie tych świadków.

Pierwszy stanął przed kratkami Abram Pinkt.

„Czy znacie Mateusza Sikorę?“ zapytał sędzia.

„Kto nie zna Mateusza Sikorę? cała okolica go zna. Jest znaczny gospodarz“.

„Czy widzieliście Mateusza czwartkowej nocy?“

„Dla czego nie miałbym go widzieć?“ On u mnie nocował. Z wieczora przyszedł i mówi: nie chce mi się po nocy jechać do domu, jestem słaby i prześpię się u was. Dlaczego nie? Miałem mu miejsca na podłodze żałować? Mówię: owszem, kładźcie się, śpijcie z całą wygodnością. On się też układł koło pieca na podłodze i spał do białego dnia. Już nasz szkolnik do okien stukał, żeby żydzi do bużnicy szli, a on jeszcze spał; na drugi dzień rano kazał sobie przystawić bańki. Jankiel Mydło, felczer mu stawiał całe pół kopy. Już było pewnie koło południa, jak Mateusz skończył swoją kurację napił się dwa razy gorzałki i pojechał do domu.

„Czy wiadomo wam, po co Mateusz Sikora przyjeżdżał do miasta?“

„Aj, aj, po co miał przyjeżdżać? po to, po co i najpierwsi panowie do miasta przyjeżdżają, chciał dostać trochę pieniędzy od żyd-

ków. On czasem bywa w potrzebie, to się chce ratować".

„Jak dawno Abram zna Mateusza Sikorę?"

„Dawno, ile lat nie mogę porachować, może dwadzieścia, może trzydzieści, może i więcej".

„Proszę pana sędziego, wtrącił ekonom, ten żyd, to Mateusza wspólnik, on kradzioną zwierzyną handluje".

„Niech pan ekonom nie robi komu obrazy, bo ja też mogę powiedzieć, jakiem pan zbożem handluje".

„A tobie co do tego?"

„Mnie nic, ale dziedzicowi może. Ja myślę, że dziedzic ma dużą ciekawość do takich spekulacji".

„Cicho!" zawołał sędzia, „to do sprawy nie należy. Abram ma zeznawać. Więc Mateusz Sikora noc czwartkową przepędził u was w waszym domu?"

„Nie mogę powiedzieć, że w moim".

„A w czyim?"

„Prześwietny sądzie, ja nigdy nie wdaję się w fałsz, żyję samą prawdą; jak staję za świadka, to choćby za rodzonym ojcem nie powiem gorzej, tylko tak jak prawda, i dla tego

nie mogę z czystem sumieniem powiedzieć, że Mateusz w moim domu nocował. Cha! cha! żebym ja miał ten dom! byłbym bogacz, ale prześwietnemu sądowi wiadomo, co to są domy żydowskie... niby jest dom, a nie jest, niby jest gospodarz, a nie gospodarz. Burmistrz, sam pan burmistrz może zaświadczyć, co się dzieje, jak przyjdzie płacić podatki. Czyste rozbójstwo się robi. Biją się, kłócą, krzyczą, ten na tego spycha, tamten na owego, niech Bóg broni".

„To do sprawy nie należy".

„Owszem, proszę prześwietnego sądu, należy i bardzo należy. Sąd się pyta, czy Mateusz nocował w moim domu?"

„Tak".

„No, ja przysięgałem, ja chcę czystą prawdę powiedzieć, ani trochę więcej, ani trochę mniej, tylko czystą prawdę jak szkło. Dom nie jest mój, choć nie mogę też przysięgać, że jest wcale nie mój. Ja jestem Abram Pinkt, a do tego domu ma jeszcze prawo Lejzor Pinkt i dzieci Symchy Pinkta, co już nie żyje, i Janklowa Brodawka, i Boruchowa Migdał, co są moje rodzone siostry, a po panieńsku także się

nazywają Pinkt. W tym domu nocował Mateusz...“

„Dobrze, ale w waszem mieszkaniu?“

„Trochę w mojem, a trochę nie w mojem...“

„To ma znaczyć, że część nocy przepędził u was, a część gdzieindziej?“

„Nie, on wszystkie części nocy przespał u nas; od wieczora do północka, od północka do świtu, i od świtu do białego dnia też...“

„Jakto u nas, co mam przez to rozumieć?“

„Niech prześwietny sąd rozumie, że teraz są ciężkie czasy... człowiek szuka dochodu... bo dochód wcale nie chce szukać człowieka... Chwalić Boga, mam swoją stancję, ale nie jestem wielki pan, ani hrabia, żebym sam ze swoją familiją w całej stancji mieszkał... więc odnajmuję dwa kąty; jeden trzyma Wigdor Katz, drugi Nehemija Rosendorf, bardzo porządni kupcy, po czterdzieści groszy tygodniowo za komorne mi płacą. Oni też widzieli, jako Mateusz przyszedł z wieczora, jako był trochę słaby na plecy i przez to chciał się wygodnie wyleżeć dla odetchnienia i wypoczynku... Ja mu tego nie broniłem, położył się na ziemi i spał...“

„Któż to widział?“

„Kto? Wszyscy... Wigdor Katz, Nehemja Rosendorf, oni też spali, każdy na swojem łóżku, a prócz tego byli u nas kilku uczciwych żydków: Mendel Kobiałka, Chaim Czymszel Rotfisz, Berek Lejb Kocker, Uszer Dreidelszpil, Chuna Kiwa Kaprawy, Mojsie-Laibele Gancleben... był też i Fiszel Spokojny i Majer Mendel Dubeltówka...

„Dosyć!... Abram wyliczasz cały spis ludności miasteczka...

„Broń Boże, ja tylko powiadam prawdę, kto był...“

„W jakim celu zgromadziło się tylu żydów u Abrama?

„Ja powiem całą prawdę... Nehemja Rosendorf, co w mojej izbie mieszka, robił chrzciny dla swego synka, co jemu przybył niedawno... do takiego interesu potrzeba dziesięć żydków; to on ich akurat tyle zaprosił. Osiem gościów, a Wigdor Katz i ja, to razem dziesięć, niech prześwietny sąd sam porachuje. Z tych dziesięciu żydków jest tu dziś we wsi sześciu, oni stoją przed sądem, można ich zaraz zawołać, oni poświadczą, że widzieli, jak Mateusz spał, jak okropnie chrapał... Na moje sumienie, chłopskie spanie musi być bardzo ciężkie,

bo takiego chrapania ja w mojem życiu nie słyszałem. Widać Mateusz w sercu miał feler, skoro i bańki także na drugi dzień stawiał...

Sędzia zwrócił się znów do Mateusza.

„Po co jeździliście do miasteczka?“

„Podług poratowania zdrowia... jako mnie okrutnie w plecach rozłamało, że całkiem dychać nie mogłem, i podług pożyczenia pieniędzy...“

Wezwani żydzi stwierdzili bytność Mateusza w miasteczku nocy czwartkowej.

Sędzia kiwał głową, ławnicy uśmiechali się. Wystąpił przed kratki ekonom Barnaba.

„Cygaństwo to wszystko, prześwietny sądzie“, zawołał, „takich świadków, jak Mateuszowe świadki, można dostać za dwa złote kopę... Zwąchały się żydy z tym oto starym rabusiem i bronią go, ale sprawiedliwość prześwietnego sądu nie da się otumanić... Koguciński jest dawny gajowy, wypraktykowany, złodziejów leśnych zna na wylot, po chodzie wymiarkuje każdego, toż skoro Koguciński świadczy, wiara przy nim powinna być... Mateusza w domu nie zdybał, konia nie zdybał, ani siekiery też... a przecie do baniek stawiania siekiera mu nie była potrzebna... Ja

z przeproszeniem prześwietnego sądu nosem czuję, że Sikora dąb ukradł. To złodziejstwo w nos bije... Jego sukmanę do tej pory czuć świeżą dębiną... jeszcze nie wywietrzała..."

„Aj waj", odezwał się półgłosem Abram, „jaki czujny nos... widać dla tego taki czerwony jest..."

Barnaba, nie zważając na przycinek, prawił dalej.

„Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi..." wiemy czem się Sikora trudni... Czy go kto widział kiedy przy robocie, jak gospodarza, żeby orał, bronował albo młócił... Żebym tak spuchł, jeżeli ten chłop bierze kiedy cepy do garści... Nocą tylko myszkuje jak borsuk, zwierzynę niszczy, drzewo kradnie, i dopieroż, z kochanym Abramem w handelek się bawi. Abram też znany cygan jest, kradzione kupuje, co właśnie jakoby sam kradł".

„Ja bardzo proszę prześwietnego sądu", odezwał się Abram, „całe to paskudne gadanie żeby było zapisane. Ja pana Barnabego będę skarżył o potwarz".

„Dość", rzekł sędzia, „Mateusz Sikora, czy masz jeszcze co do powiedzenia?"

„Mam".

„Więc mów“.

„A to dopraszam się łaski prześwietnego sądu, żeby tego pijaczynę ekonoma i Kogucińskiego wsadzić do kozy za bałamucenie sądu i spokojnych ludzi, jako, że każdy ma swoje zatrudnienie“.

„To nie należy do sprawy“, mruknął sędzia, i wraz z ławnikami opuścił salę.

„Poczekaj, kochany Mateuszku“, rzekł Barnaba, „wnet się o swoim losie dowiesz. Jak posiedzisz z pół roku w kozie, to ci dębina nie będzie pachniała“.

„Aj, proszę pana Barnabego“, rzekł Abram, „za co pan taki zawzięty? za co pan chce gubić Mateusza i pisaniem i gębą i nawet nosem, kiedy ten człowiek całkiem niewinny jest. Za co pan go chce gubić?“

„Bo kradnie“.

„Fe, nie trzeba mówić takie brzydkie słowo, prawda Mateuszu...“

„Pewnie“.

„Ho, ciekawym dlaczego?“ zapytał groźnie ekonom.

„Bo może się stać panu ekonomowi jaka zła przygoda“.

„Ho! ho! odgróżki. Nie boję się, nie z takimi ja już miałem do czynienia...“

„Ot, co to po próżnicy gada. Pan ekonom się nie boi, a ja też nie straszę; ale jak pana kiedy dostanę do garści, to zrobię obrachunek sprawiedliwy...“

„Cicho, cicho“, mitygował Abram, „na co to gadać. Wynoście się stąd, Mateuszu, zamiast czekać w sądzie, poczekajcie na dworze“.

Rzekłszy to, zaczął popychać chłopa ku drzwiom, lecz w tej chwili sędzia z ławnikami wszedł i wygłosił wyrok, uwalniający Mateusza Sikorę dla braku dowodów.

Barnaba za głowę się złapał, Koguciński uśmiechnął się pod wąsem.

Mateusz skłonił się sędziemu aż do ziemi i wyszedł wraz z Abramem. Udali się ku karczmie.

„No, widzicie Mateuszu“, mówił Abram, „że nie było czego się bać, jesteście czysty jak szkło“.

„Ten ekonom psia wiara“.

„Macie rację, to szkaradny człowiek. Możnaby jemu stołka przystawić, ale on przydatny jest innym żydkom“.

„Ja się z nim sam rozprawię, abym go tylko gdzie na osobności spotkał“.

„Nie radzę wam. Każdy powinien się swoim fachem trudnić, i wy nie polujcie na awanturę i na nową sprawę, tylko na zająca. Ja bardzo potrzebuję dwa zające, obiecałem“.

„Na kiedy?“

„Na niedzielę, rachowałem na was, Mateuszu, że mi wygodzicie“.

„Dlaczego nie? Wygodzę; będą dwa zające, przyniosę w sobotę wieczorem, zaraz po waszym szabasie, ale słuchajcie-no, żeby tego dąbka ekonom w miasteczku nie wywąchał, bo mogłaby być bieda“.

„Niech wącha, niech on wącha. Ten dąbek dawno porżnięty na kawałki. Kto go tam znajdzie? a może myślicie, że Lejzor będzie się chwalił z tego, że drzewem handluje. Aj, Mateuszu, wy nie znacie naszych żydków, oni skromni są, nie lubią się pysznić“.

VII.

Abram Pinkt używał szabasu przez całe dwadzieścia cztery godziny. W piątek przed wieczorem szedł do łaźni, potem ubierał się odświętnie w nowy kamlotowy żupan, przepa-

sywał biodra czarnym pasem wełnianym, na głowę wkładał bardzo piękny kołpak lisi i tak wystrojony szedł do bożnicy. Powróciwszy do domu, zastawał już świeczki zapalone, stół nakryty i zabierał się do wspaniałej uczty. Pił mocną szabasówkę, jadł chałę, rybę, kawałeczek mięsa, potem ze współlokatorami swymi śpiewał „majufes“, potem czytał trochę nabożną książkę, potem kładł się spać i spał snem mocnym. Rano znów szedł do bóżnicy, modlił się, potem jadł, czytał, spał, znów jadł, śpiewał i znów spał, właśnie jak przystoi na męża, który przez sześć dni dość się natrudził, nagadał, nahandlował, a siódmego dnia chce użyć wczasu i wypoczynku.

W szabas Abram nie myślał nawet, o skórkach, ani o zwierzynie, ani nawet o Mateuszu, tylko odpoczywał i ciałem i duchem. Przez cały dzień w myślach jego przesuwały się różne wspaniałe obrazy przeszłości biblijnej, dopiero pod wieczór, gdy szarzeć zaczynało i gdy niebawem gwiazdy miały na niebie zabłysnąć, do głowy Abrama powracały skórki zajęcze.

Właśnie w sobotę wieczorem, gdy światło zapalono, przed dom Abrama zajechał

saneczkami Mateusz. Abram ujrzawszy go pomyślał:

„To jest kupiec, słowny człowiek, terminowy człowiek!...“ ja już mam moje dwa zające, za które mi dobrze zapłacą, podziękują i powiedzą, że takiego słownego handlarza, jak Abram, na świecie trzeba poszukać...

Mateusz wjechał na podwórko, okrył konia starą kapotą, rzucił mu garstkę siana, a sam, wyjąwszy z sani worek, wszedł do izby.

„Jak się macie Abramie?“ rzekł.

„Dziękuję, a wy, Mateuszu, zdrowi jesteście?“

„Ot trzymam się, jak groch przy drodze...“

Żyd się roześmiał.

„Ny, za to droga niedobrze się trzyma przy takim grochu, jak wy“.

„Albo co?“

„Nic, ja sobie tylko tak powiadam, aby coś powiedzieć... ale, Mateuszu, gdzie wasze słowo jest?“

„W worku...“

„Ho, ho! jakoś bardzo ważne słowo... to chyba nie zające, ale dwa wilki...“

„Trzy zające...“

„Ja was prosiłem o dwa...“

„Cóż zrobić? złapało się trzy...“

„Nie strzelaliście?“

„Nie. Teraz trudno, gajowi się włóczą jak psy; żeby człowiek strzelił, toby ich cała hurma napadła i wzięliby jak swojego. Więc tedy po cichutku się złapało na wnyki. Na przyszły tydzień, skoro doczekamy, będą miesięczne noce, to u siebie za stodołą parę snopeczków owsa postawię na przynętę, przyjdą jak barany pod strzał“.

„Mój Mateuszu, koniecznie trzeba zająców strzelać, bo państwo grymaszą; jak zając nie pokrwawiony, to powiadają, że on swoją śmiercią zdechł... że ja go na polu znalazłem... Akurat, jak nie mam co lepszego do roboty, tylko po polach chodzić i zdechłych zająców szukać! Takie pańskie fanaberje... niedość, że jedzą zająca, niedość, że jedzą go za niedrogie pieniądze, jeszcze chcą grymasić...“

„Pańska moda“.

„To jest głupia moda; czy zastrzelony, zając więcej waży, niż uduszony?“

„Ale skąd?“

„No, ja też powiadam, że nie rozumiem, czego oni chcą?“

„Ja rozumiem i zawsze sprzedaję strzelane zające...“

„Kiedy te są duszone“.

Mateusz wydobył z worka zająca, który całą głowę i bok miał powalane krwią.

„To strzelany jest“, zawołał Abram.

„Akurat! ziarnka śrutu w nim niema, ale moja to rzecz, żeby go ufarbować, bo skoro państwo to lubią i skoro za to płacą...“

„Wy jesteście bardzo zmyślny człowiek, Mateuszu, co checie za te dwa zające?“

„Nie za dwa, alę za trzy...“

„Jakim sposobem? przecie ja u was obstalowałem tylko dwa zające“.

„A cóż ja z trzecim zrobię?“

„Co chcecie; możebym go wziął, ale nie mam na niego kupca teraz; jak poleży i zepsuje się, ja zostanę stratny. Wreszcie słuchajcie, ja mam miłosierdzie nad wami... ja go wezmę, alę nie mogę zapłacić za niego tyle co za tamte. Na żaden sposób...“

Zaczął się targ długi, nużący. Chłop opuszczał, żyd postępował. Godzina upłynęła, nim do porozumienia przyszli.

Abram pot z czoła ocierał.

„Wy, Mateuszu“, mówił, „jesteście twardy jak kamień, z wami ciężko handlować...“

„Idźcie-no do lasu, spróbujcie nabrać zwierzyny, jak na wszystkie strony pilnują, obrachujcie swoją fatygę, pracę, strach i idźcie sprzedać zająca. Ciekawym też, cobyście za niego żądali?...“

„No, ja co innego, ja jestem inny człowiek“.

„Macie tak samo nogi, ręce, głowę; któż wam broni próbować...“

„Każdy musi żyć podług swego fachu; ja jedno potrafię, wy drugie, a z tego co my obydwa potrafimy jest cały handel. My zawsze powinniśmy się trzymać za ręce, bo wy potraficie wyprowadzić zająca z lasu, a ja umiem go wprowadzić w świat. Dla tego ja was tak ratowałem w sądzie, bo ja jestem wasz najlepszy przyjaciel...“

„Ekonom się odgraża...“

„Co on się może odgrażać?“

„Powiedział, że się zaczai w lesie z dziesięcioma fornalami, że mnie złapie, zbije na kwaśne jabłko i do kryminału wsadzi...“

„Wy się śmiejcie z tego, Mateuszu, on wam nic nie zrobi, choćby miał stu chłopów“.

„Dla czego?“

„Bo wy nie będziecie taki głupi, żebyście szli do lasu akurat wtenczas, kiedy Barnaba z chłopami na was czeka. Tak mi się zdaje...“

„Ha... i ja tak myślę; niech on czeka na mnie w jednym końcu lasu, a ja gospodarować będę w drugim, i co mi zrobi? Złodziejstwo mi zarzuca, cygan jeden, jak gdybym ja naprawdę złodziejem był. Kupił łotr las, czy co? Kupił zająca czy sarnę?... Nie urosła to drzewina? nie urosł grzyb, czy jagoda z mocy Boskiej, bez ludzkiego zachodu, bez żadnego kłopotu? Albo i marny zając, czy on dworski, albo chłopski... nie, kto go złapie, ten go ma... Paskudny świat Abramie... żyć nie dadzą, a najbardziej ci psiawiary ekonomy, rządzcy, gajowi... Że to święta ziemia takich nosi cierpliwie...“

„Wy macie recht“, rzekł po namyśle Abram, „ale na moje pomiarkowanie, żebyście mieli las swój własny, tobyście może inaczej gadali. Podług mojego rozumienia, człowiek ma swoje myślenie nietylko w głowie, ale i w kieszeni...“

„Żebym ja miał las“, mruczał chłop, „żebym ja miał las...“

„No, to cobyście z nim robili?“

Mateusz nie chciał na to pytanie wprost odpowiedzieć.

„A juści“, odrzekł, „Abram żeby wielkim rabinem żydowskim został, to coby Abram robił? Pewnie nie latałby po wsiach za skórkami, ale siedział sobie cały dzień w krześle, rybę jadł, śledzia jadł, herbatę z arakiem pił...“

„Co wy powiadacie, właśnie, że wielki rabin bardzo mało jada... On i bez jedzenia ma w sobie bardzo wielką moc. Aj, rabin, cha! cha! czy ja mógłbym rabinem być, nawet pomyślenia takiego nigdy nie miałem, nawet mi się to w nocy nigdy nie śniło... Rabin, wy nawet nie wiecie, jakie to wielkie słowo...“

„No, i co gadać po próżnicy... wy nie będziecie rabinem, ja nie będę dziedzicem, taki już nasz los... tymczasem ja muszę myszkować po borach, a wy handlować skórkami... Trzeba dziękować Bogu za to, co jest“.

„Czy tak podług waszej nabożności wypada?“

„Ma się rozumieć, a podług waszego rozumienia inaczej?“

„Owszem, jeszcze bardziej, zawsze trzeba dziękować Bogu za to, co już nam dał, a prosić żeby jeszcze więcej dał i jeszcze więcej“.

„Nigdy wam nie dość“.

„Aj, Mateuszu, pomyślcie-no, co wyście powiedzieli? jakie wyście rzadkie słowo wymówili i jak niepotrzebnie takie słowo wymawiacie“.

„Nie rozumiem was“.

„Powiedzieliście „dość“. Weźcie to na rozwagę, na rozum, i zastanówcie się co to znaczy?“

„Dość znaczy dość, do woli, do syta, tyle co potrzeba“.

„I kto takie słowo wymawia?“

„Juścić nie psy, tylko ludzie“.

„Nie wielki z was majster do myślenia. Żeby was naprzykład, nie chcę złą godzinę wymówić, złapał w lesie Barnaba i zaczął łomotać po waszym grzbiecie grubym kijem, tobyście krzyczeli „dość“; żeby was, niech się na waszych wrogów obróci, trzęsła febra, tobyście też mogli krzyczeć dość; ale gdyby wam kto dawał pieniądze, zboże, perły, gdyby wam toczył z pełnej kufy okowitę, to nie spieszylibyście się z wołaniem, moglibyście zapomnieć, że takie słowo w mowie ludzkiej jest. Co to znaczy? Bierzcie tylko do głowy, a zrobi wam się zaraz jasno, że „dość“ odnosi się tylko do

złego, a nigdy do dobrego; że skoro na dobre człowiek nie mówi „dość“, to znaczy, że mu brakuje, że mu jeszcze potrzeba, a skoro potrzeba, prosi, żeby mu dali. To jest całkiem jasne i trzeba bardzo twardej głowy, żeby tego nie zrozumiała, no, a wy przecie zanadto twardej głowy nie macie“.

Chłop się roześmiał.

„Po żydowsku wy, Abramie, te wszystkie pomyślenia obracacie“.

„Śmiać mi się chce z was Mateuszu“, rzekł Abram. „Wam dziwno, że ja wszystkie pomyślenia obracam po żydowsku. Powiedzcie, proszę, jak je mam obracać? po waszemu? Ej, nie. Każdy człowiek ma swój sposób: chłop chłopski, pan pański, żyd żydowski. Z tych sposobów dopiero wynika jeden sposób: dobry“.

„Nie zawsze“.

„Zawsze, wierzcie mi, ja się na tem znam lepiej od was. Jeżeli będziemy łapali zająca, wy złapiecie; jeżeli pójdziemy zastawiać wnyki na ruble, to ja muszę cokolwiek upolować, a wasza próżna fatyga. Nie może być inaczej, cały porządek świata na tem stoi, cała spekulacja. Nie moja to głowa wymyśliła, ani nie

wasza, tak już było oddawna, tak jest i tak będzie.

Chłop głową zaczął kręcić.

„A juści, wszystkobyście zagarnąć chcieli i zabrać do garści".

„Co wszystko, jakie wszystko? Aj, Mateuszu, weźcie dobrze do głowy. Wy macie chałupę, macie pole, łąkę".

„Aj, łąka; całej obrady sto prętów".

„Ja nie mam nawet dwa pręty; macie konia, krowy, owce i za pozwoleniem jeszcze inne bydło, macie las".

„Jaki?"

„Niby nie wiecie: dworski las macie".

„Dworski to nie mój".

„Wszystko jedno, powiadam tylko, że wy coś macie, a ja nie mam nic, tylko kawałek głowy i parę groszy w kieszeni. Komu łatwiej żyć, wam czy mnie?"

„Mnie się zdaje, że wam".

„Pfe! nie powiedzcie to słowo, wy macie".

„A wy macie pieniądze".

„Aj, niech nasze wrogi takich pieniędzy nie mają".

„Eh, Abramie, po co mamy bajać po próżnicy; zapłaćcie mi za moje zajączki i bywajcie

zdrowi. I tak już noc zapadnie, nim się człowiek przywlecze do chałupy, kawał zejdzie, a jutro raniuteńko do roboty trzeba wstać".

„Alboż potrzebujecie młócić? Czy wasz syn tego nie potrafi? Czy wam niewola męczyć wasze stare kości?"

„Ja do młócenia nie pójdę, ale do lasu".

„Dobrze, idźcie wy do lasu. Słuchajcie-no, podobno na Żabiem-jeziorku pokazały się wydry".

„Kto wam to mówił?"

„Chłop jeden opowiadał, że ludzie widzieli, nawet on sam widział, a ja zaraz pomyślałem, że te wydry będą nasze".

„Ale".

„Kto je złapie jeżeli nie wy?"

„Trudna rzecz".

„Dla was?"

„Dla każdego".

„Pi, pi, wydra, rzadka rzecz, śliczna skórka, jabym wam dobrze zapłacił".

„Nie sprzedaję ja skórki na baranie; jak będzie to pogadamy".

„Ja wiem napewno, że będzie".

„Bywajcie zdrowi, Abramie, już jadę".

„No, co wam tak pilno? napijcie się jeszcze wódki, ja funduję“.

„Snać sumienie was ruszyło, żeście dali tak mało za zające“.

„Wcale nie, chciałbym, żebyście mieli lepszą chęć do wydry“.

„Samo prawie żydowski kołnierz“.

„Co wam do tego? niech będzie czyj chce, abym wam zapłacił“.

Rozstali się dwaj przyjaciele na krótko.

Po trzech dniach Mateusz znów przyjechał i przywiózł ładne lśniące skórki z dwóch wyder. Abram wydał okrzyk zdziwienia.

„Już?“ zawołał.

„A juści, miałem czekać do żydowskich Trzech Króli?“

„Wy chyba ze złym duchem macie spółkę“.

„Ej, nie bajać, jeno wydry brać i płacić, skórki są piękne, a zachodu kosztowały niemało“.

Po tym handlu nastąpił drugi, dalej trzeci, dziesiąty i tak przez całą zimę i przez następnych dni kilka.

W zgodzie przykładnej był zawsze Abram Pinkt z Mateuszem Sikorą. Chłopu nie uszło

żadne żywe stworzenie; które tylko podpatrzył, wyśledził, wyszpiegował, to dostał. Zdradą, podstępem, siatką, samołówką, strzałem, w dzień lub w nocy Mateusz ofiarę swoją zabierał. Abram nieraz myślał, że Mateusz to nie jest prawdziwy Mateusz, ale anioł śmierci dla zwierząt dzikich, tak jak rzeźnik dla swojskich. Abram z taką pewnością nie sięgał do własnej kieszeni po pieniądze, jak Mateusz do cudzego lasu po zwierzynę. Była to zaprawdę śliczna spółka, oparta na pewnych, niewzruszonych fundamentach. Czasem przeszkadzał rozwojowi sąd, zawsze chętny do dawania ucha złośliwym podszeptom. Zwykle w takich przypadkach niewinność wychodziła z triumfem, ale raz stało się takie brzydkie zdarzenie, że Mateusz dostał się na pół roku do kozy, ani jednego dnia nie darowali mu, musiał odsiedzieć całą porcję co do godziny.

Przez ten czas zwierzyna w okolicznych lasach rozmnożyła się bardzo, a Abram nie miał czem handlować, przymierał z głodu, stracił humor i opinję sławnego i punktualnego dostawcy, a grubszy liwerant skórek napisał do Abrama dość przykry list, w którym wcale niedwuznacznie dał do zrozumienia, że potrze-

buje ajentów czynnych, ruchliwych, energicznych, nie zaś niedołęgów, umiejących tylko fajki palić pod piecem i rozmyślać niewiadomo o czem.

Było to Abramowi bardzo przykro i utwierdziło go w przekonaniu, że świat jest co się zowie paskudny, a ludzie źli, że nie pamiętają o zasługach już położonych a liczniejszych, dziesięć razy liczniejszych. Jest w tem akurat tyle sprawiedliwości, ile puchowatej sierci w wyleniałej i na szczęt zjedzonej przez mole skórce.

Abram, do najwyższego stopnia oburzony odpisał liwerantowi, że stagnacja w interesie jest chwilowa, spowodowana przez siłę wyższą; że przed upływem terminu zaradzić złemu nie można a zarazem zaproponował liwerantowi, żeby go nauczył, w jaki sposób można kupić skórkę z zająca, który nie jest zabity i cieszy się zupełną swobodą.

Niech przyjdzie i niech kupi, kiedy jest taki wielki mechanik do handlu! Przekonałby się zaraz, że handel z Mateuszem jest interes, bez Mateusza zaś nic nie znaczy. Wprawdzie Koguciński też miewa niekiedy co do sprzedania, ale z Sikorą w porównanie nawet nie idzie.

Tamten jest chłop niezwykły, prawdziwy łowiec!

Nie mógł się doczekać Abram powrotu swego przyjaciela, a zarazem ustania szkaradnej stagnacji. Z konieczności musiał próbować innych geszeftów, trudnić się takim handlem, do jakiego wcale nie był przyzwyczajony. Trafiło mu się kupić bardzo tanio srebrny lichtarz. Kupił go bez namysłu, bo i dlaczego miałby nie kupić?

Lichtarz był porządny, nie zanadto wysoki, ani zbyt nizki, średniej wielkości, w samą miarę. Używał go Abram tylko w święto i cieszył się, patrząc na tak piękny a niedrogi nabytek. Obiecał najmłodszej córce, że jej da ten lichtarz w posagu i dziewczyna pyszniła się już naprzód z tego bogactwa, tembardziej, że wszystkie prawie jej towarzyszki zaledwie marzyć mogły o mosiężnych.

Któż zgadnąć może, jakich sposobów używa szatan, aby sprowadzić na człowieka nieszczęście. Nie żałuje on na ten cel ani brylantów, ani złota, cóż dopiero mówić o srebrze.

Wróg ludzi bogaty jest; nie mógł dostać się do Abrama przez skórki, osięgnął cel przez srebrny lichtarz.

Kiedy Mateusz odsiadywał swoją pokutę w kozie, na Abrama spadło też nieszczęście. Odwiedziła go policja i przyczepiła się do lichtarza. Zabrali go jak swoją własność; przytem narobili plotek, że to lichtarz kradziony, że jakiemuś obywatelowi złodzieje ściągnęli takich sześć, a oprócz tego srebrne łyżki, widelce, noże i inne kosztowności.

Prawda szczera jest, że lichtarz Abram kupił, a oni wyobrazili sobie, że Abram wszystko kupił, zaczęli dopytywać się o łyżki. Abram był człowiek rzetelny, chodził prostą drogą, pokazał tym napastnikom wszystkie swoje łyżki cynowe i blaszane, piękne łyżki, ale wcale niesrebrne, policji to było za mało, chciała koniecznie wiedzieć gdzie są srebrne, chciała wiedzieć kto lichtarz sprzedał, jak wyglądał, czy był stary, czy młody chłop, czy żyd czy cygan?

Albo człowiek może pamiętać od kogo kupił! Kupił i dość, zapłacił i interes skończony. Rzecz taka prosta, a jednak, jak się pokazuje, nie dla wszystkich zrozumiała. Oprócz policji przyczepił się do tego lichtarza i sędzia śledczy; wzywał Abrama do siebie, dopytywał bardzo delikatnie, grzecznie, uśmiechał się

przytem. Całkiem przyjemny człowiek, tylko ogromnie ciekawy, gotów pytać, ile człowiek ma guzików u kapoty, włosów na brodzie... Ciekawszy niż niejedna stara żydówka. Rozmawiał z Abramem kilka godzin, trochę przytem pisał, a potem powiedział: „bądź pan zdrów“, „do widzenia“ i pozwolił jechać do domu.

Abram nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i wprawdzie nie pojechał, ale poszedł do domu piechotą, na swoich własnych nogach... O lichtarzu całkiem ucichło i byłby Abram o nim zapomniał, gdyby nie najmłodsza córka, która coraz głośniejszym lamentem wyrażała swój żal i zawiedzione nadzieje.

Mateusz pewnego wieczora pokazał się w miasteczku. Był jeszcze bardziej ponury i bardziej milczący niż dawniej. Patrzył w ziemię, ludzi unikał.

Do drzwi Abrama zapukał może więcej z przyzwyczajenia, aniżeli z potrzeby. Abram powitał go okrzykiem pełnym radości, ale to nie rozpogodziło czoła chłopa. Usiadł na ławie, podparł głowę na dłoni i przez dość długi czas milczał.

„No, Mateuszu“, wołał Abram, „słuchajcież Mateuszu, czyście tam mówić zapom-

nieli? Powinniście się cieszyć i radować, że już jesteście na swobodzie, a wy tak wyglądacie, jakby wam najpiękniejsza krowa zdechła. Odsiedzieliście już swoje, teraz możecie pracować“.

„Odsiedziałem niesprawiedliwie“, rzekł Mateusz.

„Aj, moi kochani, co to gadać. Sprawiedliwie, czy nie sprawiedliwie, jednakowo się siedzi“.

„Ja tam złodziejem nigdy nie byłem“.

„No, ja też nie był em, a przecie miałem taki kram, taki kłopot i o co? o srebrny lichtarz, który za swoje własne pieniądze kupiłem. Świat jest paskudny, ale czy dlatego, że on taki, nie handlować skórkami, nie kupić jak się co trafi?“

„Do kryminału byle za co pakują“.

„Nie myślcie wy o tem, już co was miało boleć, to przebolało, teraz nie boli. Teraz wyście powinni zabrać się do roboty, zapłacić sobie za cały czas“.

Chłop spojrzał z podełba.

„Juści zapłacę ja, tylko mądrzejszy będę, drugi raz złapać się nie dam“.

Mateusz święcie dotrzymuje słowa. Poluje jak lis, cicho, podstępnie, skrycie, dąbki wywozi, ale jeszcze zgrabniej, niż wpierw. Wypowiedział bitwę gajowym i wychodzi z niej zawsze zwycięsko.

Abram za ów nieszczęśliwy lichtarz także swoje odsiedział, bo na tym świecie trzeba się do samej śmierci ostrożności uczyć.

Obadwaj filozofowie nasi zmężnieli duchem; nabrali więcej wiedzy praktycznej i doświadczenia. Gdy się zejdą czasem lub gdy odbywają podróż wspólną, wymieniają między sobą myśli i toczą spory. O nieśmiertelności, o życiu pozagrobowem mówią mniej, bo co do tego, mają poglądy wprost przeciwne, ale kwestja używania darów przyrody, kwestja bezwzględnej wolności handlu zajmuje ich bardzo często.

Mateusz dowodzi, że człowiek ma prawo polowania we wszystkich lasach kuli ziemskiej. Abram twierdzi znów, że człowiek ma bezwzględne prawo handlu wszelkim towarem, jaki na świecie jest i to obydwóch boli, że sądy zapatrują się na te sprawy zupełnie inaczej.
